

~~854~~.12.2

~~11~~

~~934~~

3582 ✓

NOCY WIEYSKIE

PANA DE LA VEAUX.

z Francuzkiego

przez

STANISŁAWA SZYMAŃSKIEGO.

Resstat ut his ego nie ipse regam solerque elementis.

HORAT.



w LIPSKU 1808

Drukiem Jana Fryderyka Gładitsch.

374

DO
MOKOTOWA
OSADY

*Dziedziectwem, posiadłością, przebywaniem
W ŁASCICIELKI
Szczęśliwey;*

*A miłym położeniem, gustem, wytwornością,
wspaniałością,
jedney z nayroskoszniejszych.*

Luba Osado! co szczęścia trwałem
Osuta białkiem masz dni bez nocy;
Pod twym promieni względnych udziałem
Wieyskie roziaśnieć żądaia Nocy.
Pewne zamiaru; bo gdzież to bywa,
Zeby noc czarną pchnął dzień od siebie?
Ona go brudnym kirem okrywa,
A on ią w świetnym upiękrza Niebie.
Toż i was, Nocy, szczęście nie minie,
Tak mi przyiaźni wróżą Bogowie;
Niech no promykiem swym na was kinie
Świetna *Żutrzeńka* na Mokotowie.



PRZEDMOWA AUTORA.

*N*ie masz czulej duszy, któraby na osłabłości zostając nie kosztowała tych słodkich momentów, w których człowiek, odrzucając precz od siebie łudzące omamienia, i zwo-dnicze pozory, wchodzi w własne swoje serce, szuka w nim światła prawdy, i niektóre iey isierki znajduje.

Co za rokosz! natłukłszy się przez nie-iaki czas po morzu świata tego, wdrapać się na wierzchołek skały spokojney, i bezpiecznie na niej sobie usiadłszy, patrzeć wolnym okiem na te burze, bałwany, i roz-bicia, które pod iey spodem, do koła in-nym trafiają się. Szczęśliwy! kto może pod ten czas aby na moment wybieć sobie z pa-mięci te dzikie uprzedzenia, których nacią-gnę-

gnęła była w siebie dusza jego; nędze ludzkie topnieją mu coraz w oczach, a moc prawdy wspinała, po serce jego czystą słodzącą. W takowych to tylko momentach, a oraz i tych, które śmierć poprzedzają, może człowiek nauczyć się coraz więcej poznawać, czym on jest na ziemi, i czym jest ziemia dla niego.

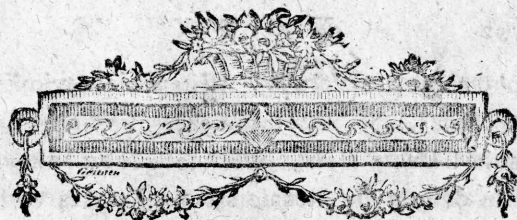
Syt świata, któremu się przypatrzyłem w rozmaitych postawach, widzę że samotność stała mi się nieiako nieuchronnie potrzebną. Zatrudniam się czasem spisywaniem tych myśli i uczuć, które mi ona namyka; i to dzieło, które wiadomości publicznej podaję, jest wyborem tego wszystkiego. Nie mam w zamiarze, Poemata, ani dysertacje Filozoficzne pisać; chcę tylko odrysować rozmaite wrażenia, których dusza moja w tych momentach samotności doznała.

Jeżeli to prawda, co powiedział Jan Jakób. Rousseau, iż szczęśliwie uda się to pisać, o czym jest człowiek wewnętrznie przeświad-

świadczony, śmiem sobie tuszyć, iż Nocy Wieyskie będą ważyć cokolwiek. Nie masz w nich ani iednego zdania, ani iedney myśli, któraby nie była w sercu moim czepiana; nie masz ani iedney prawdy, o którejbym sam pierwey przekonany nie był. Większa część Antidotek, które tu przytaczam, nie są płodem głowy moiej; treść ich jest prawdziwa, ia tylko scenę i Aktorów odmieniam. Charakter Dorwala, wyrażony w szóstej Nocy, nie jest wymyślony odemnie; a postępek tego dobroczynnego człowieka, który przywodzi w Nocy dziewiątej, jest prawdziwy aż co do okoliczności najmniejszych.

Nie podchlebiam sobie tak daleko, żebym rozumiał, iż dzieło moje ujdzie krytyki, zwłaszcza w tym wieku, w którym zda się, że nie czytają książek, tylko dla podchwycenia i nagany Autorów. Dałem do przeczytania niektórym Literatom Noc pierwszą; iedni ją z wielką grzecznością pochwalili, drudzy zganili, wraz z siostrami, któ-

po niej urodzić się miały. Czytali dzieła
niektórzy, iak mówią, ludzie światowi, i
zapewnili mnie szczerze, iż ie z ukontento-
waniem czytali. Jakożkolwiek iest, ieżeli prze-
znaczenie zamierzyło los pomysłny temu dzie-
łu? miło mi będzie wspomnieć sobie, iż mia-
łem szczęście zahaczyć choć na moment mo-
ich czytelników. Ale ieżeli padł na nie wy-
rok, żeby kłami naysurowszey krytyki roz-
szarpane było? Ładno się i w tym uspokoię;
nigdy bowiem nie miałem za nieszczęśliwego
tego, co nie umiał zwracać swoje myśli do
smaku swego wieku; a znowu przepisałem
sobie takie prawidła mego szczęścia, które
żadnego związku z piorem Dziennikarzów
nie miały. Owo zgoła; ieżeli stanie na tym,
że to dzieło iest nic do rzeczy; ia ie pierwszy
rzucam w ogień, a drugi raz słaram się
czym potyteczniejszym zatrudnić siebie.



NOCY WIEYSKIE.

PIERWSZA NOC.

W I E Ś.

Rzucam was smutne przybytki pychy i
niewoli, wielkie miasta; gdzie bezbożność
tratnie nogami cnotę, przygnębioną do zie-
mi: gdzie złoto wszystkim włada: gdzie
szacowne uczucia natury przydusza blask

powabny szaleństwa. Witam cię, wiosko kochana! laby przytułku szczęścia i niewinności! Dusza moja, właśnie gdyby z kaidan dobyła się, technie swobodną parą wolności; myśl moja, serce moje rozszerza się, ni to rozległy horyzont, którego kresów oko nie dojrzy: słodycz iakąś tajemna, rozlewa się po moich zmysłach: iestem szczęśliwy! Doślawszy się nazad do moiej lubey chatki, będę wiernie pełnił przepisy natury. Umiarkowana praca, wystarczy na moie potrzeby; mój ogródek, moja niwa, moja trzódka, opłaca się aż nadto sutemi korzyściami moim rękóm roboczym. Odsunięty od klów twoich iadowitych, dzika potwarzy! będę sobie patrzył z daleka na te niewinne ofiary, które codziennie pod ciosami twoiemi padać będą, obleię się łzami nad niemi; a los, który mnie wyrwał z twoiej paszczeki, tysiąc razy będę uwielbiał.

Za każdym razem, iak słońce znikając z naszego horyzontu, zapadnie do drugiego puł-sferza, rozsypywać po nim dobroczyn-

ne promienie, porzucę ja moie robotę, i pójde sobie nogą za nogą, krażyć podług brzegów tego strumyka; a doszedłszy do iego źródła żywego, porzucę się byle iako na ziemi. Tam to cudny widok natury wzniesie duszę moie, a serce rozrzewni. Precz porzucę dzikie przesady, których grubą powłoką cmi czyście światło prawdy. Sam na sam z naturą, słuchać będę iey głosu, otworzę moie duszę na iey słodkie natchnienia; nauczę się powinności, które mi przepisuje; i używać będę roskoszy, które mi ona podaie. Poszarpię te dzikie zapony, pod któremi człowiek przed oczyma memi tai się, a obaczę go takiego iakim iest.

Otoż już czuję wpływ tajemny natury; zda się iakby na okół mnie rozchodziła się atmosfera niewinności i roskoszy. Wolniczny ogień wznieca się w moim sercu, rośnie w płacach, i po wszystkich żyłach moich rozchodzi się: to mi to stan szczęśliwy! wszystko mnie czarunie, wszystko rozrzewnia, wszystko porywa, wszystko wyobraze-

eniem wolności i szczęścia napelnia. Zniknęły moje kaydany; rokosz serce moje rozgrzewa; a oczy, sączą łzy słodkie czułości.

Noc posiała po całym świecie głębokie zapisze, które też i do duszy moiej dochodzi; Zefiry, pędzą ku mnie wonne z kwiatów balsamy; drzewa, wiać koło moiej głowy wieńce z swoich gestych gałązek dodała cienia moiej budce; a promyki gibkie Xieżyca, nakręciwszy się tu i owdzie po listkach, posrebrzała kręte nurty strumyka, zmykającego mi pod boki. Łoskot roztrącających się wód o skały chropowate, miesza się z głuchym milczeniem natury, i nie tylko go bynajmniej nieprzerывa, ale owszem zda się ie tym bardziej powiększać.

Wszystkie tu stworzenia, parą się spokojnością i szczęściem. Tysiące rozmaitych robaczków, igrają sobie po mięciuchnych i oślizłych rosą ziołkach; ryby w wodach swobodnie podskakują i pluszczą; a

ptaszki w gniazdach swoich, używają słodczy miłości i spoczynku, iako drogich odpłat za prace poniesione z przywiązania rodzicielskiego, pod czas upału dziennego.

Niewinne zwierzęta! wy także w pokoju kosztujecie słodkiej wolności! zda się, że was noc cieniami swoimi zaślania przed okrucieństwem człowieka: korzyścicie z tych szczęśliwych momentów, wkrótce ukaże się dzień, a z nim tyran.

Kochany słowiku! odezwij się ieno przede z swoim szczebiotliwym głosem; rozpędź tęsknotę lubey samiczki, zaprzątniowej ogrzewaniem w ciasnym gniazdku miłych owoców waszych wspólnych miłości; niech twoimi piosnkami zabrzmia echa wokoło: powinny one całą naturę rozrzewnić, bo ie sama czułość wyciska. I wy też, tkliwe synogarliczki, pozwólcie sobie śmiało uciech miłości i wierności związkowej, niech wasze ięki serdeczne, będą wyrazami wspólnych zapalów! spłaj

czcie wasze dzióbki miłosne; a załotnymi trzepotaniem skrzydełek, poruszcie listki na gałązkach spokojne; ale skoro tylko intrzenka błysnie w waszych zakątkach, krycie się; człowiek ukaże się; może jego ręka okrutna, wam życie odbierze. Umie on was wyrwać z łona uciech niewinnych, ale ah sam ich kosztować nie umie!

Słyszę jakiś po lesie chrzęst gałęzi; niby coś tupa po wrzosach; przybliża się ku mnie, wychodzi z gąszczu, stawia na świetle Xieżyca; a to Jeleń, przychodzący gasić pragnienie w czystej wodzie źródła żywego. Jakże piękna i wspaniała kibic! rzekłby kto: iż natura chciała na nim wydać swoją zwieźłość i wysmukłość. Niefety! i na cóż przydadzą się te wdzięki? kiedy intro, skoro tylko dzień błysnie, lada sfora psów okrutnych, podszczuta od ludzi jeszcze okrutniejszych, wystraszy go z kniei, i poty ścigać będzie, aż mu nogi pod ciężarem zmordowanego ciała zemdleją i ustaną.

Okrutnicy! co wam złego zrobiły te pierzchliwe zwierzęta, że wam chce się paświć nad nimi? ludźmi jesteście, a czynicie sobie rozrywkę z bolusłabego stworzenia, które ucieka przed wami! Jeleń opłakuje swoje osaczenie i zabój; zając postrzelony, zwraca ku wam uśfaiący wzrok, wyrzucając wasze okrucieństwo; a kuropatwa, wyziewając dech ostatni, zda się żebrać waszej litości, za resztą rozpędanego swego śladka. Ale iak wy się macie dać skruszyć tym niewinnym zwierzętom; kiedy to, co im zadaiecie, nie jest ani nawet cieniem tych mąk, które wasi równi od was cierpią.

I czegoż mi ma brakować do mego szczęścia, jeżeli mnie ta pułstynia potrafi od waszego okrucieństwa zachować? Fałszywy i zdradliwy świecie! nigdy ja nie pożałuję tych omamień, które mi zwykłeś zaślepiac niebacznych, poświęcających ci swoje serce! będę patrzył bez zazdrości, na nich, żywających tych mniemanych dóbr, które-

mi ich obsypiesz. Widziałem twoich fa-
worytów, uganiających się za bankami błę-
szącymi i lekkimi, które powietrze, ia-
ko zechce, podrzuca, i które rozsypują się
w tym momencie, gdy rozumiesz, że ie
chwytasz; widziałem, iak się gryzli przez
całe życie o chimery, co im miały iakieś
niby przynieść nieszczęście, i gineli nakoniec,
niekosztowawszy nic spoczynku. Widzia-
łem na twoich zborach świętych, wybiła-
ne złotu pokłony, pół tysiactem butnych ty-
tałów. Widziałem Bożka próżności, wy-
dającego swobodnie swoje śmiechu godne
wyroki, i rozstępującego ie po całej ziemi.
Widziałem tych, których ty zowiesz mędr-
cami, igrających w piłkę z dziećmi, i tań-
cujących na dźwięk ich grzegotek.

Daremno czuły człowiek szuka tu na
ziemi serca, na którymby swoje serce mógł
złożyć; nie znajdzie go. Para iadowita fa-
komstwa, przewrotności, i matactwa, ozi-
neta i powędziła wszystkie cnoty. Czło-
wiek poczciwy, jest jedyny na ziemi. Mo-

zna go przyrewnać do owych rzadkich ro-
ślin, sprowadzonych z obcych krajów, któ-
re dla niedostatku przyzwoitey im wilgoci i
soku, zwieszają na dół mgłę główki, i
schną marnie.

Słodki sen, pannie w chatce rolnika
i pasterza; nie przerywają go, ani przeraźli-
we głosy zawiedzionego sumienia, ani o-
kropne poczwary nienawiści, wiarołomstwa
i zemsty; ani czcze układy pychy i fa-
komstwa. Niewinność i pokój z nim się mie-
szczą. Swift ptaszak, wkrótce obudzi tych
ludzi szczęśliwych... Zda mi się, że już
widzę ich, poglądających z radością na
wschodzącą iutrzenkę. Siły ich, orzeźwio-
ne na nowo, rozchodzą się co żywo po
członkach wypoczętych, i we wszystkich,
iakowś ochotę do pracy wzniecają... O-
wóz wysypali się w pole, i wesoło zaczy-
niają prace swoje pożyteczne. I możeż to
bydź, żeby oni nie czuli słodkich podnie-
r do wdzięczności, kiedy widzą, kiedy sły-
szą całą naturę, z weselem obchodzącą po-

wrót dnia; kiedy patrzą, iak słońce sypie po ich niwach i drzewach dobroczynne promienie, których ciepło szacowne, ma w cięgości dopełniać, albo przedziwnego dzieła dojrzałości owoców, albo buynego wyklucia się z ziemi nasion, w iey łonie zamkniętych?

Czy to rolnik, z swojej łaki kwiecistej tnie trawę zieloną; czy ciężkim pługiem, porze ciągle na tęgiej roli zagony; czy pochyłe żnie kłosa, i wpękatę wiąże snopy; czy obwisłe drzew rodzących podpiera gałęzie; czy nakoniec różanym sokiem winnicy, dzieżki swoje i barylki w chłodniku nasycą; wszędzie radość, nadzieia, i roskosz słodzą iego pracę.

Spiycie sobie spokojnie, szczęśliwi wieśniacy; używajcie nayszacowniejszych darów niebios, a nie zazdrościcie bynajmniej losu bogaczowi, którego blask oczy wasze przeraża. Pod ten czas, kiedy natura toczy po waszych zmordowanych członkach spo-

czynęk, kiedy ona gotuje na około was roskoszy, któreby was ogarnęły prosto ze snu; niecnota w miastach; ostrzy swoje pugiwały, gotuje swoje czarne trucizny; i naznacza sobie ofiary. Zgryzota straszliwa, lata od pałacu do pałacu; sieie wszędzie postrach i trwogę.... Podnosi z hałasem, lite bezbożnego bogacza zapony, i wypuszcza na niego swoje żmije iadowite... Jeden rozciągnięty na puchach, pieszczonemi rękami zasłanych; podnosi ku niebu krzyki przeraźliwe, które na nim ból okrutny wyciska. Utrapienia dręczące go, są to te, które praca i oszczędność oddalaia daleko od waszych chat. Nieprzyjaciel natury, chciał przywłaszczyć sobie uciechy, samym tylko iey kochankom przeznaczone; chiał używać szczęścia i spoczynku, nie zasłużwszy na nie przez pracę i niewinność; przypłacił też tego sowicie; bo natura obelżona, mści się swoich gwałtów i wzgardy.... Drugi połączony w rozpacz, gotów jest życie sobie odebrać, które sromotne skutki występku, już mu dawno zmierzżył... Tu przewrotność

i matactwo, knują intrygi tajemne; tam gry, hulanki, i wszelkiego gatunku rozpusty, niszczą fortuny, i familie do rozpacz przywodzą. Widzę ja nieszczęśliwych, podnoszących ręce ku niebu, i petzających w podłosci i nędzy. Jakby byli szczęśliwemi! gdyby ich ręce były się przyzwyczaiły do pracy; gdyby ich serca, nie znały innych potrzeb, tylko wasze.

I coż może być w porównaniu z temi roszkaszani których wy zażywacie? chyba te, których doznaje człowiek pożyteczny, pracujący pośród miast, około zmniejszenia uciążliwości rodzaju ludzkiego. Ale ah! iak on drogo tę rozkosz, iż czyni dobrze bliżniemu, opłaca! fanatyzm gotuje nań przesładowania i kaydany. Ta poczwara straszliwa, petza po głowniach tych stosów, które iey wściekłość zapaliła, a rozum ugasił; ryle jeszcze w popiele; i zwiętłemi łapami, między kośćmi przebiega, szukając iakiey iskierki, żeby nią niegodziwe swoje płomienie nazad rozniecić. Co mówię, nie-

fety! wioski niewinne! wy przed iego zapalczywością zchronić się nie możecie. Sęga on swoje ofiary, aż do środka samey świątnicy natury; i strumyki wasze, nie raz zrumienione były krwią od niego przelaną. Śmierć, śmierć nawet sama, nie jest bezpieczną przeciw iego pociskom zasłona. Pałłwi on się nał skośćmi trupami, szarpie ie, i podrzuca z wściekłością; bojąc się, żeby ich ziemia przed nim nie ukryła; a ieśli rozum odważy się, pod strachem, oddać im ostatnią przysługę, to się rzuca straszliwym wyciem na ich mógilę, gryzie ziemię zastaniającą ie, i iadowitą pianą i posoką onę broczy.

Wszystkiego tego, zapomnienie i niepa-mięć na naturę, jest przyczyną. Nie ten to, co pracóm pożytecznym poświęca wszystkie życia swego momenta, zapalił pierwszy pochodnie nienawiści, zabobonu, i fanatyzmu; ale ten, co odstąpiwszy korzyści życia-pracowitego i niewinnego, szukał w łatwości i słabości swoich bliźnich, spo-

sobów na potrzeby, rodzące się gromadnie z próżnowania i niecnót.

Szczęśliwa niewinności! szacowna mierości! wyście były przeznaczone do uszczęśliwienia człowieka; biada iemu, kiedy tylko was odstąpi; nigdzie już was indziej, iak na wsi, w zupełney swej czystości, nie znajdzie.

Jakis łoskot uszu moich dochodzi?... za-
jeżdża pojazd paradny.... otwiera się...; ięś
to bogacz, którego nudy mieyskie, albo ra-
czej nudy z samym sobą, sprowadzają tu
na wieś. Przyjeżdża on tu szukać szczęścia
i spoczynku; ale zapewne, iak iednego, tak
drugiego nie znajdzie. Przyjaciółom to tyl-
ko swoim, natura swych pieśzcot udziela;
a on z sobą, całą wnęę niecnót i cnę prze-
sądów prowadzi. Ludzie, iego niewolnicy,
podpierają na około chwielejące się kroki ie-
go; blask złota, zda się niby z blaskiem
słońca przesadzać; zwolną zbliża się....
Cóż to? martwe oczy, zimno oglądają na

enda natury? twarz-wywiędła, pełna dumy
i wzgardy, cości niby ze wszystkiego urą-
ga się...? Widzi, iak zapada słońce za górę;
iako swemi ognistemi promieniami, gę-
sty obłok wskroś przeszywa; i ten widok
przedziwny, żadnego poruszenia w duszy
iego nie czyni. Cienie spuszczaia się z wier-
zchołka gór, powszechne ucieśnienie, roz-
ciąga się po po całej naturze; słówik rze-
wliwemi piosnkami napelnia doliny; stru-
myk szemrząc wciska się między kwiatki
łaki zieloney, i drażni kępki krzewistego
gaiku... Nasz bogacz, nie uważał nic tego;
depce on z pogardą po ziołkach świe-
żey murawki; bieży co tchu zamknąć
się w pomieszkaniach, które pięknym imie-
niem domów wieyskich obdarzył; a w nich
zatopić się, we wszelkiego gatunku niecno-
tach, które nałóg nieuchronnie potrzebnemi
mu uczynił. Już dobrze iutrzenka wysy-
pie roskosz po całej naturze, a bogacz bę-
dzie jeszcze wylegać się w miękkich pu-
chach łabędzich; i wielorakie u okien firan-
ki; na to wały iakie, czy okopy, nie da-

dążą się przedrzeć do niego, tym powszechnie miłym, pierwszym wschodzącego słońca promykom.

Rolnik pracował sobie wesoło, serce mu rośło od radości, tak, iak trawka po deszczu; ukazują się bogacz, wzgardza nim; natychmiast iego serce żal ściska, drży, iaka się; był to człowiek do tych czas, teraz nie iest tylko niewolnikiem. O ty! który gardzisz pożytecznym człowiekiem, uprawiającym ziemię, hardy bogaczu! pomyśl, że to iest twój podobny! co mówię, twój podobny? szczęśliwym byłbyś, gdybyś zasłużył zostać iemu podobnym. Leczmyż ty przecie lepszy od niego? cóż masz w sobie takie, w cobyś mógł dąć, a nim pomiatac...? zmysły twoie, przytępione i ztyrane, nie mogą poczuć wrażenia niewinney roszkoszy; dusza twoja nie przyjmuie więcej, iak tylko uczucia pomieszane, bez żadney żywości, i owey wskroś przenikającej delikatności. Podobna iest właśnie do owych rzek, toczących wody z mętnych i

biotnitych potoków; próżno szukać w nich obrazu, albo nieba ubarwionego przednim lazurem, albo ziemi piękną swoją postawą oczom powabney. W czyttey to tylko i spokoyney wodzie, rysują się w żywym blasku cudne obiekta natury; podobnież i w duszy, niezmazaney i niewinney, daia się uczuć najwyższe poruszenia obiektów. Czy iestes-że z liczby tych ludzi, walecznych, którzy dni swoje poświęcaia na obronę oyczyny? czy iestes iednym z tych oyców ludzkości, z tych monarchów, którzy pracują nieustannie nad uszczęśliwieniem swoich poddanych? czy możesz ty wyciągać iakiey wdzięczności od tego, którym pogardzasz...? „Mam złoto,, rzeczesz mi; iezeli to tylko cała twoja zaleta; iezeli w to tylko dmiesz i dufasz; słuchay, wystaw sobie na myśli pewną uwagę, dosyć do prawdy podobną, a obaczysz, na iak słabych fundamentach zasadza się twoja wielkość mniemana. Oto tak; myśl, że te miasta, z których wyiechałeś, są zburzone, że twoi krewni i przyjaciele, zagrzebani w ich rui-



nach; że wszystkie związki twego z ludźmi towarzystwa, są zerwane; że nie masz więcej, ani monarchów, ani poddanych, ani wojska; i że nie masz innych ludzi na ziemi, tylko rolnicy, pasterze, i ty. I cóżby się też wtedy działo z tobą? naoby ci się przydały twe niezmierne bogactwa? oto podobnobyś je wszystkie oddał za jedną skibkę chleba razowego, któregoś inaczej mieć nie mógł, iak tylko, albo z pracy rąk, która siły twoje przechodzi, albo z litości tego wieśniaka, którym teraz tak dumnie pogardzasz. Mogłby wtedy gardzić tobą wzajemnie, ten szczęśliwy i pożyteczny człowiek, a to tym słuszniey, iż pogarda iego ku tobie, zasadzałaby się na iego właściwym szacunku, a twoiey niezdatności do niczego.

Ale trzebaż, żeby pioruny, albo kule armatne miały burzyły! trzebaż, żeby dla przekonania ciebie o niesłuszność, wspaniałe społeczności budować szły w rozsypkę? Nie, nie; tysiączne okoliczności, mogą wy-

bić ci z głowy te mniemane dymy twoiey wielkości, a przekonać cię o twym nicestwie. W jednym momencie, możesz stracić wszystkie te dobra znikome, które stoją na celu twoiey próżności; może zwycięzca wydrzeć ci je, a samego wysłać z tylą innymi na zaludnianie dzikich krajów. Wtedy dopiero uznasz, że ludzie, od dzieciństwa samego starający się bydz użytecznemi wspólności, pierwsze miejsce w towarzystwie naturalnym trzymają; wtedy to przywieziony do stanu natury, poczujesz, żeś ty jest ze wszystkich stworzeń ostatnim, iako najmniej użyteczny i zdalny do czego.

Są bogacze, których uprzedzenia i namiętności nie zupełnie zatwardziły; potrójna miedź nie okuła ieszcze ich serca na uczucia uciech niewinnych, i naturą zwykłą czasem przymilać się ich zmysłom poruszonem. Jak tylko śniegi zaczynają lać się potokiem z szczytu gór wyniosłych, ustępując miejsca zieloności i kwiatom; iak tylko miękkie Zefiry zacząną muskać ziemię, strą-

iącą się w nowe coraz ubiory, czują oni odradzające się w swoim sercu nasienie szczęścia, im właściwie przeznaczone; lecą do naszych wiosek, skaczą od radości na widok tych cudów piękności, które u nas znajdują, i mają się za szczęśliwych. Ale ta roszkosz, która nie była tylko wnetą natury, wprędce niknie. Wtedyż się oni ściągają rękę do łopaty i grabi; zastąpi się, żeby pluga mieli ująć się; i niechce im się zarobić na owę niewymowną radość żeńców, którzy po wytrzymanym skwarze słońca przez dzień cały, wychylają sobie po kolei wieczorem kruż chłodnego jabłeczniku, spiewają piosnki, i skaczą; albo zruciwszy wpół sennie z siebie, porzucają się byle iako na trawie, pod cieniem rozłożystego buku..... Nie! w krótkim czasie nudzą sobie u nas; tęsknota popędza ich nazad do miasta, i grzęzną znowu w odmencie swoich uciech fałszywych, pomiatając z pogardą życiem wiejskim, którego zażyć nie umieją.

Stroń, stroń iak naydaley, czczy i pozorny człowiecze, od tych mieysc szczęśliwych; nie są one stworzone, tylko dla dusz, umiejących należycie je cenić; ale przynajmniey nie pogardzaj niemi, gdy się na nich nie znasz.... Rzuci ieno okiem po tym polu, na którym rośnie zboże, co cię ma karmić; przypatrz się temu pagorkowi, na którym natura cedzi i wyrabia w cichości sok szarłatny po gronach, żebyś miał czym zpendzić frasunki, a widzisz-że twego brata, zgarbionego pod ciężarem lat mnogich, iak on graboli się o kłiu na ten wzgórek, i ostatnich sił dobywa, w podnoszeniu wiałących się po ziemi winnych gałązek...? Zastanów się z uwagą aby na moment, nad tym widokiem; zadrżnij nad twoją nieużytością i niewdzięcznością; a nauczyć się oddawać cześć powinna tym mieyscom świętym, na których ty sam ieden tylko, jesteś laikiem.

Precz mi z myśli, nudne wyobrażenia przewrotności i pychy; wróćcie się nazad

roskoszne obrazy niewinności i szczęścia, a napełniacie duszę moję nayprzyjemniejszymi uczuciami słodczy! widzę z dala chatkę Licydasa i Lucety. Wczoray złączył ich Himen; zapewne teraz pływają w potokach naygorętszey miłości. Luceta, jest to córka iedynaczka pewnego mąjtnego arędarza, Licydas ubogi sierota, służył za pastucha u oycy Licety. Licydas kochał Lucetę. Właśnie wtedy, siedemnastą wiosnę odbywał. Skład twarzy otwarty, wydawał iego duszy niewinność; świeże lice iego i iagody okrągławe, miały podobieństwo do dwóch pięknych brzoskwin, na których pulchny meszek, istną świeżey róży barwą przekwita. Oczy czarne i pełne ognia, wyrażały natężenie iego chęci, a uśmiech miluchny, który nigdy prawie z iego twarzy nie schodził, rozwierał zlekka dwie wargi korallowe, które odsłaniały podwoyny rząd drobnych zębów, nad śnieg bielszych. Ociec Lucety, zasadził był gaj bukowy w dzień narodzin swoiey córki, i właśnie on od swoiey zasady, szesnasty raz odmieniał swoje

gajki. W tym to gaju, Licydas i Luceta lubili się bawiwać z sobą naywięcey; kochali się wzajemnie, nieznając miłości; kosztowali iey słodczy, nie przepuściwszy ani przez myśl, nic o iey zgryzotach. Zeby tam było naydali, to zoczywszy się, leciało jedno drugiemu na ręce, właśnie ni to dwa strumyki pędzące się ku sobie, aby wspólnym biegiem wody iednoczyć.

„ Luceto, rzekł iednego dnia Licydas, „ chciałbym być zawsze z tobą. Jak mi „ to miło, kiedy patrę na niebieskie two- „ ie oczy; albo kiedy czuję, bieluchne rę- „ ce twoie, muszczące mnie po szyi i iago- „ dach. Luceto, przyznay mi się, a tobie, „ czy też miło, kiedy splatasz swoje ręce „ z moimi; i kiedy cię serdecznie do mych „ piersi przyciskam? „ Nic nie mowi na to pasterek, pogląda miłośnie na Licydę, wie- „ sza mu się u szyi, i pod iego pachę twarz kryje. Palemon, ociec Lucety, siedział z tyłu, nie widziany od nich za krzakiem. Ukaznie się... Luceta zrażona, ucie-

ka zakrywając twarz rumianą fartuszką. Licydas w drugą stronę uchodzi, zwiesiwszy głowę z wstydu, ani śmie nawet w tył się obejrzeć. Palemon zakazuje im kochać się; i przez całe dwa lata, nigdy prawie sposobności nie mieli zeyść się razem z sobą sam na sam.

Pod czas strzyży owiec, pewnego dnia, Luceta nad brzegiem rzeki płocząc runa baranków, niespodzianie osłabiała; nogi zcierpły, zważyła się głowa, pada w wodę, i wart rzeki ją porywa; krzyczą o ratunek pasterki, i oczyma ją tylko sięgają. Wtym wypada pasterz, który wpław za Lucetą rzuca się. Dogonił ją; łapie; i z całej siły drze się, żeby iako dobrać się do ładu. Darémne usiłowania! wart ich rzeki junosi, wpędza na wir, i w odmęcie pożera. Znikneli.....! ukazali się.....! znówu znikneli....! Licydas zawsze trzyma mocno Lucetę. Rodzice nieszczęśliwey pasterki, stoją wpółumarli nad brzegiem, i do nieba ręce podnoszą. Nakoniec mężtwo odważnego paster-

rza,

rza, tryumfuje nad bystrością wody. Przybiera się do brzegu z swoim drogim brzemieniem, i wybladłe ciało kochanki składa na lądzie. Rzuca się na nie matka łzami zalana, woła wielkim głosem Lucety; ale ta nic nie słyszy. Oyciec srokskany, odrywa; iak może, rozszłochaną matkę od córki; sam rozumie, że już nie ma w niej ducha. Licydas bierze za rękę Lucetę, trzyma i opuszcza; odpada ręka na ziemię okolała iak drewno. Tu dopiero stanął pasterz iak wryty; droszcz zimny całe ciało przeymie; wpatruje się dzikim wzrokiem w pasterkę, a w tym dwa łez potoki nagle mu się z oczu rzucają. Zanoszą na folwark Lucetę; idzie za nią Licydas, i część z iey ciężaru bierze na siebie. Po długich trzeźwieniach, ruszy nieznacznie pasterka wpół-martwą powiekę; Licydas postrzega to najpierwszy: „Luceta! „ach kochana Luceta! krzyknie, żyje ie- „szcze! „Nuż dopiero wszyscy hurmem około niej uwiać się, nuż ją trzeźwić, nuż ratować; dosyć; że wkrótce ożyła. Co za

C

szczęście Licydy! uratował życie tej, którą kocha iedynie!

Gdy Luceta zupełnie przyszła do siebie; rzekł iey otec dnia pewnego: „Moja córko, dzisiaj ośmnaſty rok zaczynasz; „podźmyż, odwiedźmy ten gaj bukowy, „który w dzień narodzin twoich zasadziłem, i podziękujemy niebu, że cię zachowało od śmierci. „Przyszli do gaju; Licydas z rozkazu Palemona przygnał tamże swoją trzodkę. „Licydo, rzekł mu ſtarzec; poydź, odbierz nadgrode twego dobrego uczynku. Uratowałeś życie Lucety; ty; otoż ci tę łączkę, którą widzisz przed tobą, ona daruję. Tą to łączką, w dzień urodzin, ja Lucetę moję związałem. „A co, Luceto, rzekł z uśmiechem ſtarzec do córki, „wszak Licydowi łączkę darujesz? Trzęsa się z zamieszania para kochanków; inney bowiem oni spodziewali się nadgrody. „Moja córka oświadczyła ci wdzięczność, rzekł dalej ſtarzec do paſterza, alem ja ci ieſzcze mo-

„iey nie oświadczył. Uczyniłeś mi naywiększą przysługę, jaką tylko można oycu uczynić. Bez ciebie, oblewałbym codziennie łzami mój chleb, a drzące łkania moje, próżnoby wywoływały Lucety, od echów okolicznych. Żeby nie ty, dokonałbym reszty dni moich, nie złożywszy na łonie córki oſtatniego tchu. Bierz-że, mój przyjacielu; bierz, co tylko mam naydroższego; bierz córkę, powróciłeś mi ją nazad z progu śmierci, ia też ci ją za żonę oddaie. Te ſłowa mówiąc ſtarzec, złożył rękę córki w rękę Licydy, a potym ich oboie do łona swego przytulił; tu głoſne łkania dobyły się z iego piersi, a obfite łzy płynęły po obroſłych mchem siwym iagodach. Para także kochanków, we łzach pływała; a wzięwszy między siebie skrzepłe ręce ſtarca, przyciskali ie usilnie do serca, całując na przemianę, i łzami oblewając... Ot! wszystko troie było szczęśliwe; ale ſtarzec szczęśliwszy od dzieci, bo ich szczęście było iego dziełem.

DRUGA NOC.

B O G.

Jak się niebo wypogodziło i uciszyło! uspokojenie natury, świętą jakąś bojaźnią, wskroś jestestwo moje przenika. Pokóy i cichość spuszczają się z niebios poważnie, pod czas snu człowieka; a przez moment jego niebytności, starają się uszczęśliwić resztę natury. Dusza moja unosi się w górę nad obłoki...; ziemia znika coraz mi z oczu...; już ją widać tylko jak ziarko.... już jak taki punkcik.... już ją nie zgoła nie widać. Co za widok! niezliczone światy, słońca, razem mi się nawiała na oczy. Przeleciałem cały przeciąg, gdzie tylko dusza moja sięgnąć mogła; a zda się, jakbym niccale nie ubiegł! Nowe nieba, nowe też

wszędzie wystawiają mi dziwy. Wszędzie jestem w środku świata, a znikąd granic jego doyrzec nie mogę.

Duch niewidomy, ogarnia nieskończony rój światów, które, tworzy bezprzełanku, zachowuje, rozporządza, porusza, uszczęśliwia. On to zrówną pieczołowitością układa, i przedziwną harmonią tych niezmiernych globów na powietrzu wiszących, i skład drobninnych wnętrzości niedoyrzanego żadnym okiem robaczka.

Człowiek postawiony jak punkt jaki na globie, który sam-że nie jest, tylko punktem najmniejszym w niezmierzoney sferze świata, pyta siebie samego: co ja jestem...? gdzie ja jestem...? z kąd się wziąłem...? Przypatrnie się sam sobie, dotyka siebie z zadziwieniem. Pogląda po wszystkim, rusza wszystko, co tylko dosięgnąć może. Czuje, że jest; czuje, że są inne okrom niego jestestwa; reszta nie jest, tylko grubą mgłą i ciemnością dla niego. Rzuca okiem z niepe-

wności i zadumieniem po wszystkich stronach; tłum widoków rozmaitych, które światło i wiatry wystawiają mu na pozór, zda się, iakby na każdy moment czynił sobie z jego lekkowierności igrzysko. Wnosi oczy w górę; alic blask słońca ie ślepi, ogromność niebios przeraża; przestraszony, zwraca ie na dół, i ze drzeniem spuszcza w ziemię.

Słychać iakiś łoskot straszliwy; słońce ęmi się; niebo czarne chmury powłoczą; gruba pomroka rozchodzi się po ziemi; zrywają się ze wszystkich stron wiatry burzliwe, zbijaiają się o iebie, świszczą, chuczą z przerażliwym szumem i szturmem. Wala się z wierzchu gór wysokich wyrwane z korzeniem cedry stoletnie; pryska ogniem na około rozchukane powietrze, huk okropny powstaie, i zapadły między skały, na kilkoro rozbiia się, błysnęło zagrzmiiało ...; piorun uderzył ... Człowiek niewie, co ma czynić od strachu, kryie twarz w ziemię, drży ...; zdretniał ...; stracił zmysły ... i w ostatnim pomieszaniu nie

nie czuie, tylko, że co moment stracha się, i trzęsie z boiaźni. Radbym wiedzieć, czyby też z tych znaków okropnych, mógł się człowiek dorozumieć istności swego Boga...? Czyli w przeraźliwym widoku spuszczenia i śmierci, mogłoby czuie stworzenie odrysować sobie portret dobroczyńcy świata...? Nie, nie, niepewność powiększa się z postrachem; boiaźń ścisnęła mu serce. Zrażony, pomieszany, nie waży się nawet samego siebie zapytać; zapomniał o sobie, że iest na świecie; i ptaszęta iuż po zesłęj burzy wypiewniają powrot słońca i spokojność natury, a człowiek leży ieszcze na ziemi, i nie śmie się z miejsca ruszyć.

Ale potrzeba przymusiła go do wstaania: Przyciśniony głodem, przemyśla o sposobach, iakby go odpędzić. Wstaie zamysłony, a tym czasem jabłko, które wiatry obity z drzewa, nogą potęca; schyla się po nie; i podnosi. Co za dziwna odmiana! słodkie iakieś uczucie wznieca się w jego duszy, osobliwszą

ukontentowanie rozchodzi się po całym cie-
le, znika boiaźń, a natychmiast radość i na-
dzieja w sercu jego powstaje.

Za radością idzie wdzięczność; wyo-
brażenie iakowegoś iestestwa, które ma o
nim staranie; rysuje się w jego umyśle; ser-
ce, toż samo poczuwa; a oczy rozrzuwio-
ne szłą ciotchu temu iestestwu hołd we łzach
nazywwszy, i chęć poznania go co nayprę-
dzej coraz bardziej wznaga się.

Tak to tak! roszkosz i wdzięczność po-
dały człowiekowi myśl pierwszą o istno-
ści Boga. Nowe potrzeby, stały się oka-
zują do nowych dobrodziejstw; a iak obraz
dobroczyńcy rysuje się coraz bardziej w
duszy; tak pochop do wdzięczności, wzru-
sza coraz więcej serce. Woda czysta ży-
wey krynicy gasi natężone pragnienie, sen
spokojny niewymowną roszkosz po człon-
kach zmordowanych rozsiewa; ocyka się
zadziwiony, ale to zadziwienie wiąże ra-
dość i wdzięczność. Nie jest więcej w ie-

go oczach świat sceną przemieniających oma-
mień; luby obraz szczęścia, powtarza się
we wszystkich na około obiektach; a natu-
ra pilna w gotowaniu rozmaitych roszkoszy,
stawia mu w oczach naysławniejszej i nay-
bardziej uymuiającej ze wszystkich widowi-
sko.

Szczęśliwy! chociaż nie skosztował ie-
szcze, tylko najmniejszej cząstki z roszo-
szy sobie przeznaczonych. Jakież to dopie-
ro zapędy radości, i wdzięczności, kiedy
serce jego pierwszy raz upał miłości i
przyjaźni poczuje; kiedy czułość rodziciel-
ska, pierwszy raz wstąpienie jego wewnątrzno-
ści; i kiedy złożywwszy się, iż tak rzekę,
z wszechmocnością swego Boga, wyrzy koło
siebie istoty żyjące, obowiązane sobie za
udział życia?

Oto mu się ukazuje stworzenie, ze
wszystkim podobne do niego. Przeniknio-
ny na wylot, pomieszaniem żywszym i
słodszym, nad te wsz, stkie, których dotąd

doświadczył, idzie ku niemu. A wszak ci to kobieta, którą niebo za towarzyszkę mu zsyła? Oczami najprzód rozmawiają do siebie, dzielą wspólne zapęły, któremi płoną oboje; wzrok ich się miesza, pląta; się ręce, padają upoieni słodkim sokiem miłości.....

A co? będzież mógł jeszcze wątpić człowiek o istności Boga...? obsypany tyłą dobrodziejstw, upoiiony tyłą rozmaitemi gatunkami słodczy, nie maż jeszcze uznać iestestwa nad sobą, które szuka iego uszczęśliwienia...? Możeż to być, żeby z iak nayżywszą czułością nie wznosił ręce ku niebu, na oddanie mu powinno go hołdu wdzięczności...? możeż to być, żeby nieprzemyślał bez przestanku o sposobach, poznawania Boga coraz więcej a więcej?

Roztrząsa z większą ciekawością naturę, szuka wszędzie tego pełnego dobroci iestestwa, które serce iego adornie; pyta się iak naysilniey o nim, tego wszystkiego,

co mu wpada pod zmysły. Widzi wszędzie osobliwsze znaki iego wszechmocności i dobroci; wszędzie iego obecność uznaje. Widzi Boga swego w przecudownym blasku słońca, w skutkach niepojętych iego promieni, w płodności i żyzności ziemi, w zwrotach dni i nocy niechybnych, w porządnych pór i czasów odmianach, w owych cudnych kolorach, które w tysiącznych odmianach nieskończenie mienią i malują naturę. Widzi Boga w niezliczonych rojach zwierząt wszelkiego gatunku, cieszących się z swojej bytności; widzi go w ich składzie, w ich potrzebach, w ich uciechach, w ich przemysłach. Czuje Boga swego w woni wdzięcznych kwiatów, kosztuje go w ochładzający wilgoci czystey wody, którą gasi pragnienie; smakuje go w cudney zaprawie różnych owoców, któremi się w głoędzie posila. Doświadcza go w pożytku, w wdziękach i pieśzcotach lubey towarzyski, a nadewszystko w tych rokosznych uczuciach, których nie wiadomo z kąd doznać. Widzi on, czuje, i doświadcza co

moment, niepojętych dzieł i dziwów iestestwa, większego nadto wszystko, co go otacza; iestestwa, które we wszystkich punktach ogromnego świata, nadaie porządek, życie, i szczęście.... Przejęty wskrósł poszanowaniem, uwielbieniem, i wdzięcznością, p dnośi myśl do zbioru wszelkich doskonałości, iakie tylko być mogą, poznaie swego Boga, i wszystkie cnoty zawięzują się w sercu iego.

Młodzieńcze! chcesz znać twego Boga? wynidź z tych bożnic posępnych, gdzie go z p mstą i piorunami rysują; podź do naszych wiosiek, a one cię znać i czuć twego Boga nauczą. Patrz na tę niwę, okrytą iego darami, spoyrzyj po ziemi, którą depecesz; wznies oczy w górę ku temu niezmiernemu niebu, które miliony kul ognistych toczy nad twoją głową. Otoż to iego kościoł, pełen wielmożności i maiestatu. Nie czujesz że, iak iego dobroć, ni to iaka zasłona, od szczytu niebios aż do ziemi, całą okrywa naturę...? nie pamiętasz owych słod-

kich pieśczoł i chechotek na łonie matki...? zapomniałeś, iak cię oyciec nosił na rękę, i serdecznie do piersi swoich przytulał...? wieleż razy rokosz duszy tajemna, aż do łez cię rozrzewniła...? wiele razy, ta sama myśl: iż iesteś i żyiesz, niewymowną napelniła słodyczą...? A wpośrzed owych burz straszliwych i zawieruch, w których pograżony, już już prawie tonaleś, nie miał-żeś iakich pociech wewnętrznych? nie czuł-żeś wpadających do serca, niewidzialnych nadziei promyków...? Mój przyiacielu! Bog ci to twój był; on tych wszystkich dobr iest początkiem, on słodyczy tych źródłem. Te Boskie pociechy, pomnażają się stosownie, ile ty się bliżej ku temu najwyższemu iestestwu przymykasz; a przeciwnie, zmniejszają się, ile się od niego oddalas, a za omamieniami nieprawości zapędzasz. Wtedy to, nieszczęśliwie tam i sam tułasz się, iak dziecko obłąkane od domu kochanego oycy, aż póki syt nie-cnoty nie wspomnisz sobie na pieśczołach

oycowskie, i nie rzucisz się ze łzami na łono jego.

Człowiek zna swego Boga...; ah! nie! nie zna tylko istność jego; natura i doskonałość tego niepojętego ieststwa, są przed nim zakryte. Mój Boże! i nie bądźź ia znać źródła, z którego płyną na mnie łaski wszystkie...? i nie będziesz mi wolno przedrzeć się do świątyni twojej Boskiej istoty, tam cię oglądać, tam rozważać; tam czuć i pokłony tobie wybiiać...;

O! ty cały, iaki tylko iestes wielki świecie! o! wy bracia moi, nauczcie mnie znać oycę natury! Powiedzcie mi: gdzie on iest? iaki on iest? i iak ogromny potok tyłu stworzeń, z nieskończoney, wszechmocności jego wypływa...?

Zlatują się do mnie zewsząd ludzie; obiecają tego, czego żądam, mnie nauczyć. Ah! moi przyjaciele; ah! moi bracia! to tedy mnie macie uczyć znać mego Boga?

bardzo dobrze; zaczynajcież... mówcie... nuże mówcież..., serce moje upragnione, otwiera się z ochotą na chwytywanie waszey nauki.

Niestety! część tego, co wyprawicie; inż mnie dawno serce i natura nauczyły, reszta, zdaie mi się być ciemną. Klóćcie się między sobą; i zgodzić nie możecie względem rzeczy, które mi opowiadacie; a każdy z was, pomstą niebios przegrąza, iesli jego słowom wiary dawać nie zechcę. Mamli temu wierzyć, że Bog, do oświecenia, słabego i w szczupłych obrębach zawartego stworzenia, ciemney, i nie zrozumianej mowy zażywa...? że ten ociec światłości, w nocy i naygrubszych ciemnościach obiawia się...? I Bóg żeby nieskończonej dobroci, czynił sobie igrzysko z moiej słabości, przywiązuąc zbawienie wieczne do rzeczy, których żadną miarę pojąć nie mogą...?

Nie, nie; to byż nigdy niemoże! Bog iasno wszystkie moje upatruię potrzeby, on w tym wszystkim mnie oświeca, co tylko do uszczęśliwienia mego należy; resztę, co on ukrył przedemną, i ja wiedzieć nie powinienem. Leży kamień na drodze, Bog dał mi oczy, ażebym go obaczył; rozum; żebym wniósł, że mi może zaszkodzić; a siłę, ażebym go odwrócił. To nieskończenie dobre iestestwo; czuwa w każdym momencie nad zachowaniem mego ciała; i mnie do takiego czucia pobudza. Ból, ostrzega mnie o obecności szkodliwych mi obiektów; słodki gwałt żądy, pociąga mnie ku tym, które mi są pożyteczne. Ten tedy, który tak daleko chciał być troskliwym względem ciała, miałby puścić na los zbawienie mojej duszy...? Nie; moi bracia! żadney skłonności, żadney chęci nie mam ku wsszym tajemnicom; wyobrażenie ich nawet, zdaie mi się dla człowieka być dzikie. Gdyby one były konieczne do zbawienia potrzebne, czemużby dziecko nie napierało się z taką usilnością książek, zamyka-

mykających ie w sobie, z jaką drze się do iabłka, które ma na moment życie iego utrzymać....? Czemu po tyle kroć powtórzonych akcyach, nie zajmie się w młodym iego sercu skłonność niewstrzymana ku książkom, do uszczęśliwienia iego tak potrzebnym....?

Gąsienica, zwierzy blisko siebie ptaka, swego nieprzyziaciela; zrzuci się co tchu z wierzchołka drzewa, u którego wisiła na nitce, wypuszczoney z siebie; i tak może, przed czatującym na pożarcie swoje stworzeniem, umyka. To tedy Bog, miałby więcej troskliwości o życie iedney gąsienicy, niż o szczęście wiekuiście człowieka...? Miał-że by.... Ale, co widzę; skry się sypią wam z oczu, chmurzy czoło, gniew płomieniem z twarzy wybucha, dobywacie pugałów, i mnie niemi grozicie.... Okrtnicy! mieliście mnie nauczać, a wy mnie zamordować chcecie..? Jskże? wyż to składem iestęście najsświętszych Bostwa tajemnic, a rzniecie w pień bliźnich

waszych? Uciekam, kryję się przed wami; o toż wasze sztylety obracacie sami na siebie. Podżegacie w sercach wściekłość, którą technicie; dym czarny błędu z ust wam wybucha, podnosi się ku tronom, ogarnia je dokoła, a prawdę, sprawiedliwość, i ludzką precz odpędza. Królowie! te słabe istoty, które często przypominają, że nie więcej nie są, tylko ludźmi; Królowie, biorą od was sztylety: zapalczywość miesza i obłącza ich rozum, nie uznają własnych swoich dzieci; broczą, swoje ręce we krwi własnych poddanych.

O! wy! okropne fanatyzmu ofiary, cnotliwi obywatele, wierni poddani, waleczni rycerze, oycowie, małżonkowie kochani, dzieci niewinne, cienie nieszczęsne! opowiedzcie nam straszliwe sceny, tey to nocy okropney, kiedy Francya własnymi swemi rękami rozdzierała łona swoich dzieci! Biedne familie, wyście sobie w najelegoż zażywały spoczynku na łonie nie-

winności; bezpieczeństwo publiczne, oddało od was wszelkie niespokojności serca; podobno ieszcze, pod czas wieczerzy, wielbiliście Monarchę, którego wam niebo dało za pana....; ale ledwo co sen pierwszy zamykać zaczął powieki, przeraźliwy rozruch was budzi, drzwi wybijają do domów, wpadają aż do łożnic; blask mieczów zakrwawionych; miga pośród nocnych kagańców. Wycinają w pień dzieci wasze u piersi. Wołacie o ratunek na imię waszego Króla; nic to nienada; zgwałcił on i ztargał wszystkie swoje obowiązki. On ci to sam; on ten wasz oyciec, was rżnie w pień, zaiego to rozkazem, wyziewacie dusze pod trupami waszych przyjaciół, waszych krewnych, waszych żon, waszych dzieci.

Precz, precz odemnie na zawsze, okrutne zdania i nauki, które wniwecz obracacie ziemię! Świat mnie uczy, że jest Bóg, moje serce mi mówi że mnie obsypie dobrodziejstwami; resztę ukrył przed moim płytkim rozumem. Precz, precz odemnie iak

naydaley świętokradzka chętko, żeby do-
ciec iego Boskiey istoty.

Człowieku nieczuły! pędź całe życie
twoje na wynaydowaniu dzikich i wietkich
całe wniosków, któremibyś istoty Boskiey
chciał dosiągnąć; szykuy ie, i układay w
śłos iedne na drugie, ażebyś mi ią opisał.
szczyp i dziel nieskończenie, doskonałości
Boga nierozdzielne; każ im się iątrzyć, za-
łowac, uspokajac, ślosownie do twych ka-
prysów; kłóć ziemię chimeraami twoiey
myśli zagorzały; nabawiaj strachem tych
biednych, ieśli tylko iakich napadniesz, co-
by potrzebowali dowodów na poparcie
istności tego Boga, którego cała ogłasza
natura; ale co odemnie, odżegnay się na
wieki. Serce moje, przeięte miłością, nie
ma czasu do trawienia na niczym, poświęca
ono wszystkie momenta życia swego, na
oddawanie czci powinney temu naywyż-
szemu iestestwu: Wiem, że iest Bóg;
wiem, że iest dobry; wiem, że mnie ko-
cha; wiem wszystko. Biegnę tedy dopeł-

nić tych naymilszych sercu memu powin-
ności, i szukać wszędzie okazyi naślado-
wania dobroczynności, i dobroci Boga me-
go.



TRZECIA NOC.

CZŁOWIEK.

Jaki cudny prądek panuje na tym świecie ogromnym! Wszystkie jego części, połączone z sobą związkiem przedziwnym, przykładają się wzajemnie do swojej piękności, doskonałości, i uszczęśliwienia wspólnego. Stworzenie najpodlejsze na pozór, utrzymuje powszechne systema natury, i jest niby najprzedniejszym ogniwem tego nieskończonego łańcucha. Tak słońce nadaje ruch i życie niezmiernej liczbie światów rozsadzonych koło siebie, ze wszech stron jego palącego obwodu, wytryskują rzeki ogniste, wiodą z sobą wszędzie żyzność

i szczęście; a udzielając każdemu iestestwu stopień ciepła, przywołuje jego naturze, mnożą dziwnym niepojętym sposobem dary tego dobroczynnego świecznika. Drzewo, promieniami jego naroszczone, staje się źródłem dobrodziejstw dla tego wszystkiego, co je tylko otacza. Oto zaraz liście, są i pokarmem dla tysięcy rozmaitych robaczek, i cieniem dla człowieka zmordowanego, i przytulkiem bezpiecznym różnym stadkom ptaszyn niewinnych; kwiatki jego, ten przedziwny strój wiosny, szafnią pszczołce słodki sok, z którego ona miód wyrabia; a owoce barwą, smakiem, i zapachem przyjemnym, nęcą zdala człowieka ku sobie.

O słońce! ty nie udzielasz twoich darów niewdzięcznym! ciesz się z dzieł, które działasz. Patrz na ten okazały widok bogactw, które wylewasz na ziemię. Patrz na wszystkie stworzenia, u-
raczone twemi dobrodziejstwami, iak skaczą od radości na twój widok, i z twojej przy-

tomności cieszą się! Ptaszki, dobranemi głosami uwielbiają powrót twego światła; kwiatki, zaprzątione iedynie, iakby ci się przypodobać, błyszczą podczas twego wschodu drogim bisiozem, w której ie przybrała jutrzeńka. Niosą na ofiarę pierwszym twoim promykowi kosztowne perły rosy; ty zaś, mając wzgląd na ich uprzejmość, przyjmujesz mile hołd pokorny, a nowemi dobrodziejstwami wypłacasz się ich wdzięczności,

Natura, wszędzie miły obraz szczęścia wystawia; któremu kiedy się przypatruję, serce moje rozpięta się od radości. Ale niestety! wkrótce znowu ściska się, Widzę ia, że człowiek, wystawiony jest na sztych nieszczęśliwości i nędzy, a ten widok okropny łzy mi wyciska.

Jakże! to tedy na biedę tyle ludzi Bóg dobry natworzył...? Niemowle, które pierwszy raz blask światła ogląda, wraz płacem, o przybyciu swoim na świat donosi. I tak

więc natura, która tylą cudownemi sposobami pracowała około ukształcenia iego iestestwa, nie na inny koniec miała by go wydawać, tylko aby poddać pod tyrańskie panowanie utrapien i bólów....? Precz o demnie myśli bluźnierska! Nie tak się rzecz ma: kochana ta matka, udawając na pozor iakby była utrapienia iego przyczyną, w samey rzeczy gotuje mu roskoszy. O! ty! co pierwszy raz blask słoneczny widzieć zaczynasz! boleści otaczają twoię kolebkę, samym tylko krzykiem daiesz znaki życia; zda się, iakbyś do cierpienia był przeznaczony; ból i potrzeba, do żywego ci doymuje; wara mruzczyć; czekay, nim poczniesz na naturę narzekać! Oto matka kochana bieży z troskliwością ku tobie; przybiegła, i wraz otarła ci łzy, i potrzeby nasyciła. Pozbywszy dolegliwości, rzucasz okiem wesółym na iestestwo dobroczynne, które cię z nich wybawiło; uśmiechasz się z umizgiem do niego, podskakujesz sobie z radością, a maciupnemi rączynami muszcząc ia po pierśsiach, daiesz znaki tey wdzięczności, któ-

ra cała twoja, choć niewielka osóbką, jest wskrós przejęta. Owóż pierwsze lekcyce czułości, które natura daje człowiekowi; owóż droga, którą mu ona ukazuje do szczęścia. Słodkie momenta! drogie krynice wszystkich naszych roskoszy, nie mogłyście być inaczej kupione, tylko potrzebą, przykrością, i bólem, a będziecie mogli człowiek na to narzekać?

Szczęśliwa dziecino! używaj tych ulotnych szczęśliwości momentów; bodaj to nie są nayszczytsze i iedyne życia twego roskosze. Natura dała ci zakosztować słodyczy; wraz cię człowiek bólem i goryczą napełni. Oto matka okrutna zda na cudze ręce staranie o twoim pokarmie. Silisz się na nayszczytsze ku naiemnicze pieczy, przeznaczone za słodką nagrodę macierzyńskich móżdżków; serce twoje iednoczy się miłości i wdzięczności więzami z tą, która ma staranie o twoim życiu; ale w krótkce doświadczywszy oszukaństwa i zawodu, uznaje, że czułość jego podana była na igrzy-

ska. Nowa znowu matka stawia się, domaga się i ona przywiązania, na które nieumie zasłużyć; przymusza cię do zerwania pierwszych więzów natury, uczą cię zdradzać obowiązki najsświętsze. Oto skrepowany piełuchami, będziesz ofiarą barbarzyńskiego zwyczaju; zamknięty w tym ciasnym więzieniu, próżno będziesz silić się o przywrocenie sobie nazad, wydarłey bezprawnie wolności władania twemi członkami. Próżno udasz się do płaczu, i pieskliwym krzykiem skłaniać będziesz twarde ucho mamki nieczułej; na nic ci się to wszystko nie przyda, chyba dla powiększenia twego bólu, i żywszego uczucia niewoli: a jeżeli cię te pęta nie zamęczą, to przynajmniej znacznie twoje organy młodociane osłabiają, to przynajmniej ich wybitność przytępią na potym, a tobie pierwsze dadzą lekcyce niecierpliwości i gniewu.

Jeszcze to tylko początki tych nieszczęść, które ci twoi bliźni gotują. Podrastasz z

z czasem; rozum zaczyna się układać; nowe znowu wypadają potrzeby.

Rzucasz oczyma po wszystkim, co cię tylko otacza, i znajdujesz nieskończone mnoŹstwo obiektów, zdatnych do ukontentowania twoiego. Dziękujesz iak nayżywiej dawcy tych dobr. Naypierwsze uczucia Religii, zawierują się w twoim sercu. Ale człowiek, głuszy natychmiast te naypierwsze zawiązki. Sciągasz śmiało rękę ku tym dobrom; stóy! nie są one dla ciebie. Urodzenie twoie, słabość, twój wiek, wszystko ci tamuje prawo do ich żywania. Chcesz wiedzieć, iaki swego czasu czeka ciebie tych dóbr udział? obejrzyj się za siebie, obacz wprzód, iakiego stanu i kondycyi masz rodziców. Są-li oni bogaci lub ubodzy, tyrani albo niewolnicy? ich los ma być twym. Czy w tych barbarzyńskich krajach rodziłeś się, gdzie człowieka, iak bydle, drugi człowiek za pieniądze przedaie? jeżeli tak, bądź pewien, żeś jest z liczby niewolników; masz pana

nad sobą; twoja praca, twoje przywiązanie, i twoja gorliwość, zabezpieczą ci sposób do życia: będzie on cię cieszył w twych utrapieniach, będzie ratował w twoich chorobach, będzie troskliwy, żeby ciebie iakim sposobem nie utracił.

Ale ieśliś się urodził w tych krajach, daleko ieszcze dzikszych od tamtych, gdzie to biedak nie ma innych pozwolonych sobie dóbr, tylko powietrze, którym oddycha, jeżeli los skazał twoich rodziców na uprawę dla drugich tej ziemi, która dla nich nie rodzi tylko pracę i boleści; drzey, żeś się urodził człowiekiem! Przeznaczony ieś, poświęcać wszystkie twego życia momenta łskomemu bogaczowi, który ciebie ma sobie za nic; który ledwo tyle ci ze wzgardą podrzuci, ile może do zatrzymywania ducha w ciebie wystarczyć, będziesz musiał pełzać u nóg iego, zebrząc tego szczęścia, żeby raczył niemi deptać po tobie, a ta wolność okropna, której ci pozwala, nie do czego innego służy, tylko żeby się

usunął od opatrywania dla ciebie sposobu do życia; tylko, żebyś mu się z potrzebami twemi nie ważył naprzykrzać; tylko, żeby cię pośród ludzi, tobie podobnych, opuszczonego okrutnie porzucił. Gdy zaś starasz na usługach jego siły twoje, kiedy wiekiem i nędzą wycięzione członki, nie zdadzą się więcej do pracy; wtrąci ciebie do tych katusz zarazliwych, przybranych w piękne imię szpitalów; jam okropnych, do których niewdzięczne towarzystwa, pędzą ofiary, które nie śmieją jawnie zarzynać; wepchnie cię między kupę sumartych i umierających, a wróci się do twoich dzieci, podobnie, tak iśk nad tobą, pałwić się nad niemi.

Ale to nie dość na tym, że człowiek urodzony w ubóstwie, musi biedny, prawie bez żadney nagrody, oddawać owoc krwawey pracy rąk swoich dumnemu bogaczowi, który nad nim pałwi się; dusza nawet jego nie uchydzi kaydan, które na nią drudzy kuja tyran.

Okrutna poczwara zabobonu, pełzanie, prowadzona od swych ministrów, chce ubiedz rozum, który jest iey przeciwnikiem; bure płaszczyisko okrywa iey członki wywiedle; widac na nim zapisy cyfrów, rysunki gwiazdo-składów, i obrazy straszdeł. Chwyta przestraszoną dziecię, każe mu zginac kolana przed dzikim malowidłem, i niewinną duszę jego, boiaźnią, kłamstwem, i błędem natycha.

Puść się teraz, gdzie chcesz, biedny człowiecze! po rozległey świata płaszczyźnie; wlecz za sobą kaydany, któremi cię od dzieciństwa twego okuto. Nayniewinnieysze pociągi natury, będą zbrodnią w oczach twoich tyranów; potargną cię temi kaydanami za każdym razem, kiedy tylko pochyniesz się za podniętą natury; trząść i szarpac gwałtownie tobą będą co moment. Próżno natura silic się będzie na wyrwanie ciebie z rąk ich okrutnych; pogonią się za tobą do grobu, otworzą ci bramy wie-

czności, a męki, które tobie sporządziła ich wściekłość, wystawią ci przed oczy.

Szczęśliwe zwierzęta! wy nie znacie żadnych upodlających między wami różnic, dla których łączy człowiek pod iarzem drugiego człowieka! Skoro tylko zażądacie, wraz wam ziemią, co potrzeba, szafurcie. Słowik, nierzekł nigdy do słowików, w jednym z sobą szczebioczących gajku: „Wszystkie tego gaju drzewa do mnie należą; który tylko ptak zechce na nich osiadać, będzie musiał zostać moim poddanym.....”, Robaczek, wolnie sobie toczy listek, na którym się urodził...; sam tylko człowiek, na całym obszernej okolicy, nieznajdnie miejsca wolnego: kamień, na którym zmordowany po pracy, skłania głowę do spoczynku, ma swoich panów. Jeżeli los nie obrył złotem jego kolebki; ziemia ta, co się na niej urodził jest obcą względem niego; do najmniejszego z niej utworów, ściągnąć ręki niechay nie waży się.

Zro-

Żrodzony do słodczy człowiek, przez niesprawiedliwość swoich rówieśników, nabiera w siebie okrucieństwa i srogości. Wolał mu do serca nieustannie natężyć, iż ma prawo do części tej ziemi, której jeden tylko Bóg jest panem. Wyzuty miłością z tego prawa, pogląda na swoich rówieśników z zazdrością, nienawiścią mu serce zaraża, wątleje na umyśle, i za podobieństwa od innych zwierząt ma się. O ty! najnieszczęśliwsze ze wszystkich stworzenie! chcesz ostać się przy sposobie do życia, do którego twoje urodzenie nadało ci nie zaprzeczone prawo? unieź się aż do ziemi pod twoim rówieśnikiem nadej-tym; pełzaj przed nim z iak najgłębszą pokorą, liż proch nóg jego, korz się, zebraży utyrana twego łaski, ażeby ci wolno było krwawy twój pot iemu poświęcać, a najlichszą część dobr, które ci wydarł złościwie, brać w zamianę od niego.

I pytacie się jeszcze, czemu człowiek jest najokrutniejszy ze wszystkich zwie-

E

rząt, które tylko żywi ziemia...? czemu on jest najsłabszy...? temu, ah! temu; bo jest najniesprawiedliwszy. Potrzeby biedaka, zrodzonego w ubóstwie, ruszają go nieustannie; usiłuje im zadosyć uczynić; ale nieprzełamane zewsząd przeszkody, sprzeciwia się jego zawodom; temi zaś przeszkodami są ludzie. W każdym z swoich bliźnich, widzi swego nieprzyjaciela. Głos ciemny, wrażliwy niepodległość, coraz mu się w sercu odzywa; a że przymuszony do poddaństwa tyranom, nie może mu być powolnym, więc burzy się w nim nienawiść. Widzi ich pozwalających sobie wszelkich rozkoszy, takich tylko żywie żechcą; a nie widzi tych zgryzot i goryczy, których pod pokrywką zawodnych uciech doznają, owóż znówu jeszcze bardziej nienawiścią ku nim zapala się; ostatnia go zapalczywość porывa, wścieka się od złości, i zapewne rzuciłby się na każdego, którego by tylko znalazł szczęśliwszego od siebie, i w drobneby go płatki rozszarpał, gdyby go nietamowała bojaźń. Ale niech on tylko

nie czuje nikogo nad sobą; niech no mu się taka poda sposobność, że mu to płazem póydzie; niechciałbym ręczyć za nim, że się nie porwie. Otóż to tak, najłagodniejsze stworzenie, najsroższym i najokrutniejszym staie się.

Egoizm! niegodziwe źródło tylu klęsk, uciążliwych rodzaj ludzki, ty to jesteś, co człowieka do ryku pobudzasz, aby tylko zoczył drugiego! ty to jesteś, co mu do rąk miecz i truciźnę podajesz! ty to jesteś, co go wścieklejszym od drapieżnych zwierząt czynisz! Nie cierpi żebrak ludzi; bo ich widzi mających zgubę tego wszystkiego, czego on nie ma. Bogacz, trzymający środek, między charłakiem, którym gardzi, i mocarzem, któremu zazdrości, cierpi także niewymowne zgryzoty; które rodzą chimeryczne jego potrzeby, urocone z tych pałsy. Nie może on znieść tych, którzy go przewyższają czymkolwiek; radby widzieć wszystkich ludzi niewolnikami swoimi; zrobiłby ich niemi, gdyby mu

tylko dali się; porobił, skoro tylko będzie od nich mocniejszym. A tak ten nieszczęsny nienawiści iad, aż do samych monarchów dochodzi. Przeszłymi oni granice, które zamierzali złości swoich poddanych; nie znają innego prawa, tylko przemoc; tym są na świecie, czymby byli w kraju jakim ludzie, których chuci nie znałyby żadnego wędzidla. Że który sąsiad ma trochę więcej niewolników niż oni; wraz ci mu zazdroszczą, a kraj jego mieczem i ogniem pustoszą. Chciwość nienasycona, nie wchodzi bynajmniej w sprawiedliwość i słuszość, ale tylko rachuje się z siłami; z niszczycielów rodzaju ludzkiego, umieszczono i mieszczą w rzędzie Bogów.

Pódlamy do źródła tego złego. Człowiek potrzebował owoców, mleka i wody; i ziemia uprawiona, dodawała mu podobnie tych pierwszych niewinność zwierząt. Ten prosty pokarm, który mu się do rąk podaje, byłby cnoty w jego sercu zachował. Ale zaczął paść się mięsem i

posoką zwierząt, zaczął ciało dziwackimi bławatami okrywać; nakładał na siebie dyamentów i złota; rzekł dumnie: „Ziemia, ta, do mnie należy; z pędzę z niej tego, co nie będzie miał dosyć siły i serca do oparcia mi się; kuć go w kajdany. i do pracowania na moje zbytki przymuszę; i tym [tylko sposobem, zasłuży u mnie na szczyptę zboża i kęs mięsa z bydła. „

Myśl moja potywa mnie i unosi nad glob ziemi, widzę, jak się na swej osi obraca, i wszystkim osadzonym na nim narodem jak najpilniej przyglądam się. Cóż to za sceny okropne! kilkaset tyranów, podzieliwszy między siebie rodzaj ludzki, dręczą w jarmie niewoli mnogie ludzi gromady, których los, albo siła, im pod moc poddała. Tu oto rzną ludzi, dla samej tylko okrutnika rozrywki. Tam pędzą iedne przeciw drugim narody, i każą im się, jako dzikim zwierzęm, miotać na siebie, dla zemszczenia się uroionych krzywd iednego człowieka.

ka, którego bardzo często nie znał inaczej, iak tylko z biedy, w którą z łaski iego popadli. A nie, to im każą rabować, pustoszyć, zabierać prowincye; lubo tym czasem te zdobycze i zabory, które ich wódzów wstawiają, naymnieyszey im samym ulgi w ich niewoli nieprzynoszą... W drugim miejscu znowu kupa Bohaterów walecznych, płata drgające członki swoich nieprzyjaciół, karmi się ich mięsem, i krwią poi, a na większą tak dzikiego czynu uroczystość, po okropnych szczątkach ucztyniegożniwey, tańcuje.... Daley zgrzybiały i zwątlony wiekiem starzec, w pośród swojej familii, pod nożem własnych swoich dzieci, umiera! Natychmiast siękają członki iego z przyzwoitemi obrzędami zakonu, a ciało pożerają ci, którzy swoje własne mu winni! Jeszczeż to oycoboystwo, ma przynaymniey choć fetszywie za sobą pozory, przepisanych niby ustaw religii, ale wy, okrutni rodzice! wy! co to dzieci wasze do klasztorów gwałtem wtrącacie; wy! co to młodociane, i ledwo co włada-

jące sobą umysły, tyrańskim przygnębianie jarzmem zabobonu; powiedzcie, z iakich praw? z iakich ustaw? z iakich obrzędów tę dzkość wzieliście?

Nowy widok wpada mi woczy. Dym czarny wzbija się ku niebu, ludzie skaczą w ogień; ma to być obchód pogrzebowy Monarchy. Żony iego, iego sługi, iego niewolników na jednymże z nim stosie spalono. W trzy tysiące ludzi mają spłonąć od ognia za to, że jednego człowieka z tego świata śmierć zabrała.... Okrutnicy! i także nie dość tego, że życie wasze było ludzkim nieszczęściem? trzebaż jeszcze, żeby śmierć wasza, została hasłem ich mordu..?

Widać iakis kraj roskoszny; pogodne niebo, pola żyźne, здаją się niby miarkować ludzką zaiadłość i obyczaje łagodniejsze obiecywać. Podchlebna nadzieia, coś niby potakuje chęciom moim. Aboś ci tu przecie znajdę ludzi! Szeroka rzeka, pędzi wody przez kraj wesóły; jest to Ty-

ber; są na nim wyspy, jedna z nich ma jakiś napis, czytają... Przebóg! co za niegodziwość...! już też jak tylko być może, okrucieństwo najszybsze...! tutaj to, tutaj, jeden z najstarszych ziem narodu, wtrącił niewolników, łaty i słabością zwątlonych, morząc ich głodem. Niestychane morderstwo! wszakże zwyciężcom ziemi całe przyzwoite.

Po okrutnym plemieniu, nastąpiło w tym kraju drugie, jeszcze okrutniejsze od pierwszego. Wymyśla nową tyranią, podbiła dusze, chce zawojuować serca; a pod płaszczykiem łagodności zwodniczej, ukrywa dumę czarną, którą pała; krępuje kaganami lud lekkowierny; rzuca go, według swego upodobania, w ogień; rozciąga barko swoje żelazne po całej ziemi przesłoni, i samych nawet, przed którymi drży ziemia, tyranów, strachem nabawia.

Odwracam oczy moje od tych scen okropnych, które mi natura ludzka wszędzie

okrystawia. Szukam miejsca na ziemi, na którymby mógł cokolwiek powietrza niewinności zachwycić. Ale darmo, nigdzie go nieznajdę. Nieprawość okryła ziemię... A przynajmniej, czy są jeszcze gdzieś owi ludzie przyjemni, czuli, ludzie, nieznający ani szaleństwa, ani okrucieństwa, ani niewoli...? Jużby ich znalazł iezuse, ale chyba trzeba szukać po owych głębokich jaskiniach gór i skał niedostępnych, po owych ścieżkach odludnych, po kłopotliwych i pustyniach zarosłych, dokąd dzikość ludzi, w rzeczy niby polerownych, zaniedbała jeszcze przetrwać się.

Coż to są ci wszyscy, co się wzajemnie nad sobą pałają, rzną, sieją, pożerają...? Oto drobniuchawe proszki, oto maciupkie robaczki, które poruchawszy się na moment w próchnie tego globu, uśpią, i w próchno się nazad rozsypią. Ich zauschy i wichry popędliwe, kto się w jedno zbiera, to się gonią, to się uderzają o siebie, to umykają przed sobą, to się rozpraszają,

to niszcza, Duma ich, dąsa się też i napu-
sza na moment; w drobnym punkciku nie-
zmiernego obwołu, kupki kamieni ustawia-
ją iedne na drugie, przypatrując im się z
zadziwieniem i chlubą; odziewają się czym-
siś żółtym, [co im blasku dodaie; czelgają
się po ziemi nadęci; rozumieją, że świat
cały jest dla nich; właśnie niby, gdyby
mrówka myślała, że ta sosna wysoka, pod
ktą iey leży mrowisko, jest na urząd dla
niej sadzona.... W tym, czas z miną gro-
zną zbliża się, rozpuszcza swoje sieci na
śmieszne roje naspaszonych robaczków; kró-
le, książęta, tyranów, niewolaików, mia-
śa, monarchie, wszystko to miesza, wszy-
stko niszczy; a z człowieka nie zostaje nic
więcej, tylko wzór niecnoty, który potom-
kom swoim po sobie podaje.

Ludzie nieszczęśni! i także żadnego
sposobu nie macie na złość waszych bliznich?
Cnota.... co? cnota...? nie; śmierć chyba,
jest cnotą nieszczęśliwych. O! Lucylo!
twoje nieszczęście, jest mi smutnym tey

prawdy dowodem. Widziałem cię w osta-
tniej zoftaiącej nędzy, zasilaając słabe dni
biednego oycy; widziałem, iakę ocierała
rzewne łzy z więdłych liców iego, iakę
do piersi twoich przytulała iego głowę si-
wą, iakę go w upadku cieszyła, i ile mo-
żności, ostatnie życia iego mu słodziła
momenta. Skonał na twoim łonie; dolina
rykiem twoim i iękami zawyla! Nielito-
ściwi wierzący, zlecieli się natychmiast;
rozrywali między sobą nbożne łachmaniny,
w których chodził; opanowali chatkę, w
której skonał; słonę nawet szarpali, na
której ciało iego było złożone. Ledwo ci
pozwolono garsci ziemi, którąbys obnażo-
ne ciało iego pokryła. Religia przedaie
miłosierne uczynki, pogrzeb opłaca się pię-
niędzmi. Łzy twoje, były całą paradą,
która go prowadziła do grobu. Rauciłaś się
na iego mogiłę; śmierci, śmierci wolując.
Ale śmierć! śmierć nawet sama, była głę-
błą na twe prozby i nieczułą... Opuuszczona
od wszystkich, niemająca z czego żyć, ani
gdzie się przytulic; bez krewnych, bez

bez przyjaciół, bez rady, bez pomocy, bez żadney z niskąd pociechy; w tak opłakanym stanie, pobiegłaś do ministra twej religii..., rzuciłaś mu się donóg, z płaczem żebrać ratunku. Ah! iak mi się serce kraie od żalu, kiedy sobie ten gatunek ludzi wystawiam...? Niegodziwy duchownik, wazył się ofiarować ci wsparcie, pod haniebnym sromotney nadgrody zakładem...? Wzdrygnęłaś się na ten zamiysł szkaradny; a słuszną zapalczywość, była twoją odpowiedzialnością. Zaczynam wściekłość rozruszyła mu serce, i pomścił się po duchownemu. Jedno ci tylko było dobro zostało, dobro, na którym zasadzałaś wszystkie twoje nadzieie, to jest honor; złość duchownika, potrafiła ci go wydrzeć; spluskał życie twoje niewinne, iadem nacyzniejszey łotwarzy. Właśnie los twój miał się odmienić; właśnie litościwa dusza nad nędzą zabierała się ku twemu ratunkowi; kiedy ręka jego bezbożna, odrobiła nazad to wszystko. Wezwałaś niebiosa na świadectwo niewinności; ale darmo; nie-

szczęśliwym niewierzą. Tak tedy potwor niegodziwy, zebrał plon cały ziemi swej, a niewinność potzucono rozpaczy.

Serce wskraś załem przeszyte, okropny widok potrzeby, wzgarda od sobie równych zadana, a wzgarda wdzięków, niewinności, i cnoty; iakież to dzikie wiedno zebranie się i połączenie razem tylu rzeczy! Ah Lucylo! stoisz iak wryta, załem i rozpaczą przeję a! śliczne oczy w ziemię wlepiłaś, a siroksana głowa zwisała ci, i naiedno ramie zważa się! Ptaszyny wesole, wyciniają po gajku piosnki radosne; nic to cię nie bawi, owszem ieszcze ci w głęcy żalu dodaje. „Szczęśliwie! mówisz sobie, a ianie!“, Zefiry zlatują się do ciebie; kręcą się w koło; z kędziorami twoimi i warkoczem rozpuszczonym igrają, muszczą cię jedwabnym swoim powiewem, łechcą, i do słodkich igraszek i załotów wzywają. Cała natura śmieie się, i szczęście ci z siebie ofiaruje. Cóż potym! kiedy człowiek okrutny, drogę ci do niego zagroził; a tak więc

cudne dzieło natury, wydane jest na sztych rozpaczy. Co widzę! straszliwie pomieszana, rzucasz tu i owdzie oczami...; głębokie ięki coraz głośniey wydaiesz..., lecisz rozczochrawszy włosy i podniosłszy ręce ku niebu... Trzykroć wrażasz dzikie weyrzenie w ryczące około skały hurty rzeki, i trzykroć ie zwracasz nazad ze drzeniem.... Znowu obraz twego nieszczęścia, żywie ci się na umyśle maluje, głębiey coraz duszęprzenika, rzewnieyszej tży z oczu wyciska. Obeyrzałaś się jeszcze raz cale dziko po stronach..., ryknęłaś przeraźliwym głosem, głosem pełnym rozpaczy..., skaczesz w rzekę..., znikasz..., i tylko hurty rzeki, nagłym wskokiem wzruszone, podają smutnym echem przeraźliwy odgłos twęj zguby....! Okrutni ludzie, owóż wasza robota! Prawdziwie! niemasz większego nieszczęścia na ziemi, iak się między wami urodzić!

Bodayeście przepadły uprzedzenia przekłete, zwyczaje barbarzyńskie, co uczucia

ludzkość i w sercach gasicie! Drogie te ziarna, znaydują się w każdej duszy, tak iak żyłne rzucone w ziemię nasiona, którym czasu tylko i przyjemney pory roku do weyścia i wzrostu potrzeba. W pośród dzikiey gromady woioowników zawziętych, Orfeusz zjawia się, iako Bóg z nieba, na uszczęśliwienie ludzkie zesłany. Pomyka się ku tey stronie, w której groźne Akwilony, samych tylko boiów, ludzi uczyły; krok jego jest poważny i wspaniały; nieiakiś niby płomień w oczach jego żarzy się; trzyma w ręku lutnią złotą, a przecudnym iey dźwiękiem, ludzi czarunie. Cóż to? ośmielona dziczyna, z głębi lasów z podziwieniem ku niemu przybiega...? weyrzenie ich, łagodności coraz nabiera; wypadają z ręki oszczepy. Echa, co dotąd nieumiały, tylko szczęk oręża i ięk ludu wydawać, iaz teraz wesółemi i czułemi brzmią piosnkami, i niby polubiwszy ie sobie, coraz powtarzają Iwiatry, dawną ośrość żoływszy, przepuszczają mimo siebie te słudkie dźwięki, owszem ie aż do naygłęb-

szych kaci dzikich bestyi same zanoszą. Tu znówu usłyszawszy nowe dźwięki lew z tygrysem, wychodzą rycząc z swoich łożysk; wkrótce rycząc przestają; słodczy jakąś ich tajemna nymnie, zapominają swej dzikości i drapieżstwa, przybiegają do Orfeusza, a łaszcząc się i lizząc nogi jego, łaskaw ułnami stają się. Tym czasem cudotworny wieczech, do dźwięków melodyjnych lutni, i miłuchny głos swój przyłącza; wyspiewnie cuda natury, słodczy życia wieyskiego, i pożytki z rolnictwa. Wystawia w pieśniach swoich miłość, brępiącą pieśczone mi swemi rączkami drapieżne lwy, i ludzi, jeszcze drażniejszich od lwów. Słodkie więzy Hymen, jedność braterską, przywiązanie synowskie, cześć dzieci ku rodzicom, i rodziców affekt ku dzieciom, pod niebiosa wynosi; ogień co go ożywia, wszystko okolicznie zapala... Hebr, nowym rozrzuconym widokiem, wstrzymanie w biegu ugłaskane swoje mury, szuka tysiąc wybiegów, i krzy tak wesóły żda się z żalem porzucić... Łagodność obeymu-

obeymuie serca lwów i tygrysów, a Tra-kowie, ta to chciwa boiów i posoki dzi-czyzna, mienią się w ludzi cichych i spokoynych.

Taka to jest moc i skutek nauk wy-zwolonych. Ocucają one uspioną nienawieść; śledzą aż do najgłębszych serca taylorów, ukryte Boskiego ognia iskierki; wskrzeszają je; a dusze, pełnym jakimś słodczy i czarów sokiem poią.

Wszakże też same nauki, w pałacu osadzone bogacza, zaprzedać swoje wdzięki niecnocie. Osadzony gmin od udziału ich darów, popada w moc oszusta, który go zwodzi; i przemożnych tyranów; którzy go dręczą. Nigdy słodkie uczucie nie porusza jego serca; nigdy tklive wdzięki nie wzniecają rokoszy w jego duszy rozrzuconey; nigdy Muzy nie wystawiają mu tych prawdziwie Boskich akcji, do których dobroczynność, wspaniałość bo-

katyństwo i inne cnoty zachęcają swoich kochanków.

O wy! córki niebios, Muzy wdzięczne! zstąpcie do naszych wiosek; osłódźcie obyczaje ludzkie; od tak dawnego czasu pod jarzmem nieczułości ięzące. Niech Euterpe, siadłszy sobie nad brzegiem kwieciściego strumyka, przy schyłku pogodnego dnia, rozrzewni ich duszę, niech serce do cnot wszelkich ułoży; niech pod dźwiękiem głosu pawabnym, pożyteczne im moralney poda przepisy. I Talia, umałona wieńcami kwiatków, niech im słodycz cnoty, a okropne występku skutki rysuje; dzieła zacie, zaszczycające ludzkość, niech im pędzłem swoim wystawia. Miło im będzie do swych chattek powracać; rozrzewnieni, i na wylot przieci, poczują całą moc słodyczy, która łpoi niewinność; okrucieństwo i nieczułość ustąpi z ich duszy; a panowie sprawiedliwi, nie innych będą mieli poddanych, tylko czułych i wdzięcznych.

~~*~*

CZWARTA NOC.

NAUKA.

Jaki miły wieczorek! iak ja lubię przechadzać się po tych gajkach...! Niebo pogodne! Zefiry igrają sobie podlatując nademną, głaszcząc mnie piesszczotliwi, a odskoczywszy iednym pędem odemnie, lecą do gajku, kiwając, żebym poszedł za nimi. Tam znowu kryjąc się, i swawolnie wliąc między listkami, odbierają tysiącznemi sposobami brudnych cieni rosy, z białym światłem Xiężycy... Już więcej strumyk nie szmerze, tak iak dawniey, przeciw rozsadzonym na w strzymanie siebie kamikom; obfite deszcze, podniosły go równo z brzegami; płynie sobie spokojnie

F 2

między wałem podwoynym, drażniąc z cicha iego ziołka i kwiatki. Właśnie biegiem swoim cichuchnym, rysuje stan duszy niewinney, żadną namiętnością niewzroszoney.... Znagła słowik rozerwał nocne milczenie. Jakże głoszek iego jest wdzięczny! prawdziwie serce mi się rozrzewnia. On to wyśpiewuje swoje szczęście. Ah! a człowiek, czemuż także swego nieśpiewa? cóż czyni słowik, żeby był szczęśliwym? oto idzie za skłonnościami natury, kosztuje słodczy miłości, krząta się ustawicznie około uszczęśliwienia swojej towarzyszki i dziatka, a w nocy tę pociechę, która serce iego rozrzewnia, głosem wyraża.

O człowiecze! idź przynajmniej za tym przykładem; nie gwałć układów natury, a nieomylnie zostaniesz szczęśliwym. Wszak ona ci nierównie szacowniejsze; obfitsze niż innym zwierzętom dobra nadaie; twoja rzecz, ich tylko używać; a czemuż odrzuciwszy je na stronę, za samemi tylko chimarami uganiaasz się...? Ptak nie porzu-

ca swego gniazda, żeby okiem ciekawym szperac, co się dzieie w kniei niedzwiedzia...? nie odbiega swoich dzieci, żeby dwornie rozprawać, iaka też ulwa łapa, a jaki ogon? Przełtaie on na tym kawałku lazurowego nieba, które mu wydzielają gęste listki, krzewniki; niemyśląc, iak daleko rozciąga się cały iego obwód, i iak wiele świetnych globów na nim migają? „Taie-
„ mne, rzeczesz, natchnienie pociąga go do
„ iego czynności. Ah! iak on szczęśliwy,
„ że bywa pociągany ku szczęściu. „ Wierz
mi, i ty byłbyś nierównie ieszcze szęśliwszym, gdyby ci to wszystko rozum podawał, co mu przepisuje natura.

Niespokojny człowiek, oditepuie swego prawdziwego ukontenowania, zapuszcza iac duszę w głąb tych matastw i omamień światowych, które go tylko łudzą i zwodzą. Choway Boże! żeby kiedy spytał się: co też iest pożytecznego dla niego? co iest z iego dobrem...? woli raczey szukać i gonić urojone iakieś wiadomości, z których

nie zawiąże się nic dla niego, tylko niespokojność i zgrzyzota.

Co ja jestem...? Także świat zjawialem...? z kąd się bierze to wszystko, co pod zmysły podpada...? Czuję, że jestem: myślę, i myśl moja, stosownie do uczuć moich i impersyi obiektów, rozciąga się: ale jakim sposobem, jaką mocą, myśl, która mnie podpada pod zmysły może się zawiązać...? Raz, wzbiła się aż pod szczyt niedościgły niebios; drugi raz, do najgłębszych nizin ziemi opada. Lotniejsza od wiatrów, w jednym momencie, wszystkie części ogromnego świata obiega. Radaby poznać wszystko, a samey siebie poznać nie może. Puszczam ja moje oczy po wszystkich stworzeniach, glob ognisty wzbiła się w górę wspaniale, i po łuku błękitnym toczy się nad moją głową; dalej potym opuszcza się na dół, tonie w nurtach oceanu; a rządy nad niebem, zdale się, innym drobnym światelkom, i większemu, lubo nieśtałemu, Księżycu, po-

ruczać. Jakieżyż natury są te wszystkie świętniki? co to za siła, toczy je tak szykownie i rządnie....?

Słaby i ciemny człowiecze! obacz drobny proszek, który depczesz nogami, a powiedz mi, co on jest? Nie widzisz nic, tylko kolory, które mienia się rozmaicie, podług stopnia okrywającej je światłości i obiektów otaczających; niepostrzegasz, tylko składy i formy, o których, ledwo wzrok z dotykaniem złączony, mogą ci cokolwiek dokładnego podać. Ale światło i formy, nie zdają się być z materyi. Daremno ją na tysiączne, coraz drobniejsze dzielisz cząstki; zawsze ona ci się wysliznie, a fałszywym pozorem, niewinnie zwiedzie tylko i omami. Im się zwiększą usiłności w głąb iey zapędzasz, żeby ją pojąć; tym się bardziej ona ścisza, zamachy twoje odbija, z ciekawości szydzi, i kiedy rozumiesz, że już już masz ją w ręku, ona ci znika z oczu: idźże teraz, pytaj się: co? i jak dzieje się na świecie.

Są ludzie, którzy poświęcili życie swoje szukaniu prawdy; przebiegam ją z ciekawością owe Tomy niezmierne; w których nam przestali swoje niby wynalazki, znayduję, że grube błędy, upoważnione znacznym wieków przeciągiem, podgarneły ziemię pod swoje panowanie tyrańskie, a potem, własnym swoim przeważone ciężarem, zwały się, i drugim zostawiły miejsce po sobie, których także z czasem czeka los podobny. Wiek za wiekiem, pływa sobie śmiało po morzu głupstwa i błędów, lubo widział rozbić się przed sobą pierwszego, i parzy jeszcze na te drzazgi, które tułają się po tamtym, a drogami różnemi, pędzi ku temuż celowi, daremno ostrzegając następnych po sobie, o swoim niebezpieczeństwie i nieszczęściu.

Postzegam ją, że powietrze, woda, ziemia, ogień, koleyno składają świat cały; a gdy tak wzięte, są zastabe i nie wiele co znaczą, razem schodzą się, i staia źródłem

nieprzebrany jestestw. Tu znówu odment i wir proszków drobninnych; tam nieskończony szereg jestestw świat tworzy. U innych, materya jest od wieków; u drugich, tworzy ją odwieczne jestestwo, które do pewnego punktu wytrzymawszy cały przeciąg wieczności poprzedniey, przystąpiło naostatek do stworzenia iey, mając w zamysle, wkrótce nazad ją wrócić do tegoż nicestwa, z którego ją wyprowadziło. Wczoray słońce kręciło się koło ziemi; dziś przeciwnie ziemia koło słońca kręci się; i to póty tylko, póki nowa głowa, nowe go, a równie omylnego, nie wymyśli układu.

Jakie role śmieszne nienadaie myśli ludzka Bóstwu? Sadza Boga na gwiazdach, mieści go na ziemi, naznacza mu siedlisko w człowieku, w zwierzętach, w kamieniu, w drzewie, i aż nawet w tych warzywach i iarzynach, które pożywa. Dopiero słysząc o tysiącach Bogów, warcholących się między sobą, błądzących, godzących, i usta-

wieczne tylko przykłady głupstwa i rozpusty z siebie ludziom dających. Jużci znowu o jednym tylko mówią Bogu; ale i temu, jedni takie, drudzy owakie, doskonałości naznaczają... I o to z sobą ucierniają się do zębów, o to się biją wzajemnie; o obronę tych powieści, prowincye tylekroć okryły się krwią i perzyną, państwa były do szczytu zburzone, narody w pień siekły się!

Zayrzę też do Historji ludzkiej i kronik: aliści tam, podłość i podchlebstwo chwali niecnotę, a nienawiść i zazdrość cnotę potwarza; z przemocy i rozbojów, pospolicie formują się monarchie, tyrannja stoi, i w momencie znikają, ustępując miejsca drugim, z tychże samych powstającym początków, i ku temuż losowi przeznaczonym. Wszędzie kolosy wystawiają dla przemocy; gwałt umaiony cyprysowym wieńcem, przechodzi się z tryumfem po gruzach monarchii; a niewinność kaydanami spętana, rzuca jej kwiatki po dnogi. Już

mi się uprzykrzyło patrzeć na ten coraz odmieniający się widok okrucieństwa i dzikości, muszę oczy odwrócić od scen tak niemiłych.

Czy to jest rozum, którym człowiek tyle czyni hałasu? Jakże też przecie człowiekowi korzyści przynosi? oto uczy go, jak przestępować granice natury, wystawia duszy jego tysiąc pozorów dziwnych, które nie pożytecznie ją zaprzętają, i od prawdziwych obowiązków odwodzą. To tedy, co nas obłądza; pytam się: czy może od natury pochodzić? Nie, nie; kochana ta matka, nie może chcieć, tylko dobra naszego. Człowiek wyszedłszy z niej ręką, byłby prowadzony od sensacyi, do sensacyi, ażby do szedł prawd niektórych pożytecznych w małej cale liczbie zawartych. Potrzeby jego, ruszając go z stanu spokojności, dają mu znać, iż się zrodził do pracy; zmordowanie wzywając go do spoczynku, jeszcze mocniej mu wraza tę prawdę. Roskoszy i wewnętrzna słodycz jego, obiswiz

mu istność Boga. Ukontentowanie, które czuie czyniąc dobrze, zgęszoty sumnienia po złym uczynku, rysują mu na sercu jego obowiązki, i wiakowys szczęśliwy nałóg go wciągają. Owóż to są prawidła naturalnego rozumu.

Czemużeśmy ich odstąpili? Ludzie trzymałi się ich, i poważali je do pót, póki nie poznawszy tych niezliczonych brzmień, i dźwięków artykułowanych, nie znali tylko jeden naturalny język fizognomii i iestów; ale skro podłożyli dźwięki za rzeczy, natychmiast też wyszli za granice natury. Wraz, kuszono się to wymieniać, czego zgoła nie znano; wymieniano źle to, co znano; żywość myśli, osłabiona była wyrazami; a słowa, dostarczając rozumowi niezliczoną moc materyatów, z których on poczynił tyle budowli kruchych i dziwackich, zwróciły nasze dusze od obiektyw rzeczywiście, przytępiły iey czułość, i do pustey krainy chimer ją zagnały.

Jakie to tam było wrażenie miłości oycowskiej i synowskiej, przywiązania przyjaciela, i zapalów kochanka, kiedy serce nie gadało tylko do oczu...? O! zapewne, ten język, który my teraz bardzo mało co znamy, był wtedy daleko wymowniejszym, daleko dosadniejszym i wybitniejszym, niż wszystkie te słowa, które rozrywając myśl, i dzieląc na tysiąc niezliczonych cząstek, zwolna cale, i to zimno, przepuszczają ją do duszy.

Widzę szczęśliwych pasterzów, zatrudniających się spokojnie staraniem koło swojej rodziny. Natura uśmiecha się do ich pracy, i sowa ją napuszcza słodyczą. Jednemu z nich zachciało się pilnie wpatrywać się w gwiazdy; roztrząsa ich kształt, odległość, obroty; nada im nazwiska, i figury ich na piasku sobie rysuje. Wkrótce przepisuje im moc wpływu iakiegoś; a tak tedy niewymownie kontent, i nadepty z nowych swoich wynalazków, zapuszcza się w nie, i zatapia całym sobą. A tym

czasem puszcza trzodę w niepamięć; zgłodniałe owieczki beczą w owczarni, wzywając pasterza, któryby je wyprowadził na pastwiska, i drzew w ogródku, niema komu okrzyszcząć; sechną młode płonki od upału; suche gałęzie, odpadając na obwisłe gałązki, odrzucają je do reszty z zwiedleli zawiazkami i owoc. Zna pasterz niebo, a nie umie korzystać z dóbr ziemi. Ma się za wyższego od drugich pasterzy; ale wkrótce idzie do nich, żebrząc chleba kawałka, na który przez nieiaki czas zaniedbał sam zarabiac.

Pasterze szczęśliwi! nieidźcie wy z tym przykładem. Lepsze szczęście niż umiejętność; a umiejętność, ile nie przyzwolta sławowi, szczęścia nie daje. Posłuchajcie raczej tych dźwięków przyjemnych, które mi dziś dopiero pierwszy raz brzmi cała okolica. Oto Tytyr, pędząc trzodę po nad brzegiem tego stawu, zamyślił się nad sposobami, iakby młodą ująć sobie pasterkę, z którą niedawno poznał się. W zamyśle

mu zachodzi trefunkiem między siwowie, dwie trzecinę, składa jedną do drugiej; przytyka do ust, a z tęsknicy odetchnąwszy sobie właśnie mocniej pod ten czas, niespodzianie dźwięk miły wydaie. Tu dopiero ucieszony niezmiernie, zszczytna pilnie im się przypatrywać i rozważać, bierze każdą z osobna, przykładą jedną do drugiej, doświadcza, i nakoniec przyczyny nowego wynalazku dochodzi. Kilkanaście tedy sztuczek rozmaitej długości składa porządnie, i spólnie z sobą wiąże, a dopiero przyłożywszy do ust, iak należy, słodkie piosnki wycina.

Nowym dźwiękiem zadziwiony słowik, przylatuje co tchu do Tytyra, siada na bliższej topoli, z gałązki Prześkakując na gałązkę przymyka się coraz bliżej ku swemu zawistnikowi; wyszcibaa główkę nacięciwą z między Hłków, żeby mu się lepiej przysłuchać; obraca ją tu i owdzie, żeby lepiej to dziwo obaczyc. Naostatek przywala się do śpiewania o lepszą; śpiewa, roz

dyma mocno, ile tylko może, gardziołek, trzepiozce z całej siły lotkami..., to dopiero podłuż ciągłej doliny, wysadzone iak nasywyżej drobne trele rozwodzi, to znowu nagłym spadkiem przycinając tony, w ciemne lochy przepaścistych skał ie zapuszcza. Przęstaie, podłuchuiąc swego zawistnika...; znowu ipotym śpiewa, żeby go iako przesadzić. Naofatek zmordowany, ostatnich sił dobywa z rozpaczy. Próżny zapęd i nieszczęśliwy! Natężaią się do ostatniego stopnia zastybe organki, pęka cienki gardziołek, śnie ptaszyna, a umsknąwszy się z gałazki, ścieleją się trupem u nóg zwycięzcy.

Proszę patrzeć, iak pasterze i pasterki obiegaią się za Tytyrem, iak go obstepniają do koła; iak go pilnie słuchaią. Raz im się wzrok natęży i żywemi skrami sypie; drugi raz niby mgłą iaką powłoczy i kroplami rzewne łzy sączy. Tytyr zostł panem ich serc, wynalazcą nowego języka, do wydania na jaw czułości.

Ama-

Amarylla, najmłodsza ze wszystkich tej okolicy pasterek, trzyma się swoiey przyiaciołki za prawą barkę, a przewiesiwszy niedbale głowę przez iey lewe ramię; wpatruie się coraz mocniej w Tytyra. Szczęśliwy pasterzu! Amarylla była dótąd nieczułą na twoie zapęły; otożes teraz zmiękczył iey serce i miał; iuż ci się sama dobrowolnie poddaie, iuż idzie za tobą, iuż tęskni; iuż bez ciebie wytrzymać niemoże. Odbierzesz wkrótce twego wynalazku nadgrode; i na łonie pieśczozy za-kosztujesz słodczy miłości.

Amarylla, ma też iak i iey kochanek; sławę z wynalazku nowej sztuki. Chodziła sobie po ogródku razu iednego, zasadzonym tuż za ubogą chałupką. Patrzy, alie oyciec leży pod drzewem, snem twardym uspiiony. Wlepia w niego oczy; cała rozrzwionna, a rozplłynąwszy się we łzy; tak nakoniec głosem przerywanym szlochami rzecze do niego: „O! mój oycze kochany! iakżeś mi pobrał! iak ci licę z

G

„ ciała opadły! iak że ie pościagały! Śmierć,
 „ ach! śmierć okrutna, w krótce podobno
 „ mi cię porwie....! Już potym niebędę
 „ cię więcey widywać, już nie będę mo-
 „ gła tych rąk, które mnie wypiełgaowa-
 „ ły i wykarmiły, całować; zaikniesz mi
 „ z oczu, i żadnego śladu ani wzoru mi po
 „ sobie niezoftawisz! Młodym pasterkom
 „ opowiadając dzieła życia twego chwale-
 „ bne, nie będę mogła wyobrazić im tego
 „ miluchnego uśmiechu, który w poważney
 „ twarzy twoiey przesiadywa i wescość
 „ sypie na oko; nie będę mogła odryso-
 „ wać im tego pełnego wdzięków i po-
 „ wagi składu twarzy twoiey, i całej
 „ ciała postawy! „ Jeszcze nieskończyła
 to mówić, gdy się starzec ocuka, a wyrza-
 wszy Amaryllę, miluchno do niey uśmie-
 cha się. Poskoczy do oycy pasterka, i u-
 wiesiwszy się starcowi u szyi, tysiącem
 pocałowań i uścisków wyraża mu nayżyw-
 sze przywiązania i czułości sweiey dowo-
 dy.

Zle leżał starzec, i chciał się popra-
 wić; owóz Amarylla podkłada pod barki
 iego swoię rękę, i pomaga mu się dzwi-
 gnać. „ Córko moja! rzekł starzec z niewy-
 „ mownym poruszeniem serca i głębokim
 „ westchnieniem; czuję, że mi siły uftaią,
 „ a ciało ma się ku ziemi, nie za długo po-
 „ no przydzie iey oddać nazad ten proch,
 „ który się pożyczło u niey na czas krót-
 „ ki. Niechże aby raz ieszcze przypatrzę
 „ się zachodowi słońca. Niech autorowi
 „ natury podziękuję za wszystkie dary i
 „ łaski, w całym życiu moim mi obficie
 „ udzielone. Boday! czy nie ostatek raz
 „ dzisiaj blask słoneczny oglądam! „ To
 mówiąc wzniośł się starzec, i przez nie-
 iaki czas oczy w Niebo wlepiwszy, stał
 niby w zachwyceniu. Tu się rozrzewniła
 ieszcze bardziey Amarylla, a poglądając
 coraz pływającemi we łzach oczami na
 starca, z nienacka cień iego, który na ko-
 rę drzewa padał, postrzega. „ Ach! gdy-
 „ bym, rzekła sama w sobie, mogła iako
 „ ten przynajmniej cień oycy mego uchwy-

„cić, i na potym go zachować! „ Spoczy na bok, i zasydnie w piasku kawałek białego kamienia; porwie go, i po wszystkich oycowskiego cienia brzegach obwodzi.

Każę się starzec zaprowadzić do chałupki, prowadzi go Amarylla; a ciekawą widzieć, co się stało z cieniem, powraca iak nayprzedy ku drzewu, i żywy na nim obraz oycy swego znajduje. Przenikniona niewymowną radością, co temu siostry zwoływa, i swoje im robotę ukazuje. Dziwni się wszystkie wynalazkowi, wszystkie nad zjawieniem jego dumaia. Jedna z nich bierze jeszcze krzemień twardy i śpiczasty, wodzi go z przyciskiem po wszystkich śladach białego kamienia, i nad spodziewanie szacowny portret wyrzyna. Dopieroż tedy uderżyły koło drzewa w płasy, kontente niewymownie pasterki; a od piosnki i okrzyków wesółych, zabrzmiał las przyległy i pagorki okoliczne. Pasterki i pasterze naydalszych osad, zlecieli się hur-

mem oglądaćto dziwo. Sam nawet starzec przyszedł, i młodzieży wesela pomagał. „Dziatki moje, mówił, biorąc każde z o- „sobna i serdecznie sciskając, niechże wam „Bóg wasze dobre kumnie serce i uprzej- „mość stokrotnie nadgrodzi, i niech też wam „w swoim czasie, każdą pociechę, którą „mi przyniosicie w moiej starości, sowicie „zapłaci! „

Kunszta przedziwne! iak wy nieskończenie więcej zawieracie w sobie słodyczy od tych oschłych nauk, które nic do serca nie mówią! Wy to rysujecie nam czułość, wy ią w nas rodzicie, wy pomnażacie, wy kształcicie, wy słodką podniętą do pełnienia istotnych obowiązków człowiekowi iestęście. Ach! zostańcież między nami na wieki; nieuzwyczajcie nigdy wdzięków swoich niecnocie, bo was zrodziła sama niewianość.

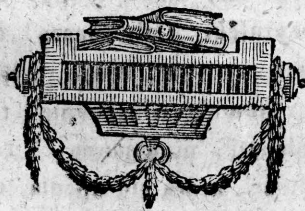
Jakaż to cma błędów otacza glob ten nieszczęsny! Człowiek chodzi sobie bezpie-

cznie pośród ciemności, i coraz głębiej w nie się zapuszcza. Coby się miał wrócić nazad i szukać tego światła Boskiego, które opodal z sobą zostawił; coby miał wyrugować z swojej duszy wszystkie dzieki wyobrażenia, przyduszałające uczucia natury; to on ich jeszcze więcej stara się zdobyć, i na nieszczęście zdobywa.

Jest prawda na ziemi, jest ona pośród nas; ale to źle, że w dzikie ubiory, od ciemnych jeszcze wieków pożyczone, przybrana, nie tak łatwo piękność swoją i wdzięki może nam ukazać. I więc te gałgany, które ją szpecą i kryją, rozpraszają i podrzec, będzie występkiem?

Człowiek iakiś wychodzi z ciżby; jest to Sokrates; przypatruje się on pilnie tej bogini, przystępuje kuniey, zdiera śmiało wszystkie nakrycia i odzienia, widzi ją taką jaka jest w sobie; a przeięty kuniey czcią i miłością, pada iey do nóg, i przy iey obronie polega. O! Sokracie, Boski Filozo-

fie! geniusz twój wraz z tobą zniknął z ziemi. Darmaś się wysilał na zburzenie tych kruchych budowli, które rozum pycha nadęty powystawiał; codziennie one nazad z swoich gruzów powstaia. Darmaś ty wrażał ludziom próżność ich nauk, zapomnieli świętych twoich przepisów; a nauka obyczajów, ta umiętność wysoka, ta prawdziwa i iedyna nauka, która samatylko może uszczęśliwić człowieka, jest w największym u nich zaniedbanu.



PIĄTA NOC.

S P O Ł E C Z N O Ś Ć.

Te wody mogą ugasić pragnienie, ta ziemia może wszystkiego dostarczyć, czego tylko trzeba do przyzwoitego posiłku; ten gaik, ten las, może służyć za schronienie i przytułek. Człowiecze! i czemuż nieprześciesz na tym! czego uciekasz się do miała po niewolę i zgryzotę? tubyś zażywał wolności, niewinności, i rozkoszy. Zrzuc tę dumę, która cię upodla, odstąp osobistości, tak daleko krzywdzącej twoich braci; zrzuc te czcze tytuły, te nienawistne przesady nad drugich, lżące i hańbiące naturę; pódz tu do nas, do tych pełnych wesołości i pokoju okolic, szczęście

tu czeka na ciebie. Pódźże, pódź, złączemy siły nasze i przymioty ku wspólney pomocy i obronie, będziemy żyli sobie razem, będziemy się spólnie cieszyć, spólnie kochać, i będziemy spólnie szczęśliwi.

Ale niestety! człowiek nie jest już tym, czym był; odmienił się mocno, osłabł, i ze wszystkim prawie odrodził się od siebie. Już iego rozpieszczone nogi, przywykłe do tkanych z ciężkich nici lub iedwabiu opasek, i ciasnemi z przednich skórek pościągane pętami, nie potrafią stąpać boso po kwiatach. Głowa iego, w trefione naczuchrana kędziory, nie utrzyma kapelusza od słońca. Pory roku, przeznaczone dla zasilenia iego tepertamentu, w samey rzeczy nadwężają go i psują; od najmniejszej pracy wraz z siłą opada, zadycha się, morduie, i choruie, a krew bydła i mięso, ledwo mogą przyiakieytakiey sile i życiu go utrzymać.

Ach! podobno próżno ia cię wabię i wzywam; uszy twoje nie słyszą głosu mego, bo nawiał namietności iuż ie dawno ogłuszył. Zatopiony w wynoszeniu się nad braci, szukasz twego szczęścia tam, gdzie go nigdy nieznaydziesz, a porzucasz te miejsca, na którychbyś nieomylnie ie znalazł. Zbierasz złoto, które śmierć ci wydrze; szukasz ukontentowania, kiedy ono iak naydaley umyka przed tobą; oy! znalazłbyś ie nieomylnie, gdybyś umiał ie dawać drugim z siebie.

Wszędzie człowiek ustawicznie rwie te związki, które go łączą zpodobnemi sobie, a to wszystko szukając niby swego ukontentowania z ich krzywdą. Osobistość niegodziwa, ściąga go w siebie samego, i pogrąża, go do wielkiej przepaści. Siedzi sam w sobie, gdyby zwierz drapieżny w swojej niedostępney iaskini, i inaczej z niego niewychodzi, chyba na zdobycz; tym zaś okrutniejszy od bestyi, iż zdobyczą iego jest bliźn; a tak społeczność, ten święty

węzeł, co by miał uszczęśliwiać człowieka, nie jest tylko przyczyną do udręczenia iego i spętania kajdanami.

Szczęśliwy czasie niewinności i pokoiu, wieku złoty! czy nie możesz ty być mianny od kogo, za miłą chimere, uroioną w myśli swobodnego Poëty...? Alboż pewno cnoty, które w nayprzewrotniejszym sercu dają uczuć swoje iskierki, nie uszczęśliwiałby zawsze człowieka...? O! ponieważ występki niemogą nigdy tych szacownych nasion do szczytu wygubić, wniesć należy. iż są one dziełem natury, a przeciwnie, szalbierstwa, uprzedzenie i niecnoty, są dziełem przewrotnego człowieka.

Tak, tak, był ten czas szczęśliwy, kiedy człowiek, nie idąc tylko za skłonnością przyrodzoną serca, wylewał się cały na uszczęśliwienie swoich bliźnich; kiedy miłuchny uśmiech niewinności i dobroci, ożywiał wszystkie iego postęпки; kiedy wzajemna zamiana dobroczynności i wzdię-

czności, składały **naypierwsze i iedynie** związki towarzystwa, kiedy **mocniejszy**, nie miał się za **szczęśliwego**, tylko przeto, że **nieśkurezone** nigdy ręce iego, mogły większey liczbie ubogich dzieci i starców opatrywać życia potrzeby; **kiedy** przykrości życia, niebyły iakimsiś zaostreniem smaku do rokoszy, a śmierć, tylko spokojną duszy niewinney na łono Bóstwa przeprowadą.

O! człowiecze! w ten czas to, w ten czas, **zażywałeś** dóbr wszelkich natury, i nieznałeś, żeby ci się czego więcej zachciało. Drzewa leśne i mleko trzód, były twoją iedyną **spizarnią**, z której codzienny brałeś sobie posilek, **należyty, zdrowy, i smaczny**; **ieszcze wtedy** zepsute pokarmy, niebyły zaraziły twego smaku. Dusza twoja, na kształt wody przezroczytley i spokojney która **na naymniejszy powiew** Zefira **kołysze się i łacniuchno następuje**, ta dusza, nieznała tylko miłe łaskotki czułości, i rokoszne poruszenia uatury niewinney. Nie-

znałeś ty nic tych buntów gwałtownych, **namiętności nierządnych**, których **żwawe** między sobą utarczki rozrywają nam serce. Nigdy **zawisć** nie zastoniła ci czystego oka, **dymem swey piekielney pochodni**, ani **zmieszała bynajmniey stałą pogodę i miluchny uft uśmiech**. Gniew, nienawiść i pomsła, nie miały ieszcze wstępu do twego serca; cała twoja **umiejętność i zabawa** była, w cnotach **ćwiczyć się, i słodczy ich kosztować**. Wskroś przeięty **wysokim wyobrażeniem Boga**, przekonany o iego nie- skończoney dobroci, **wszystkie twoie sprawy** kierowałeś iedynie do oddawania mu w nich hołdu **naygłębszey czci, nayczulszey wdzięczności, naygorętszey miłości...** Mogłoby ci było przeżyć **kiedy przeż myśl, żeby iaką psotę bliźniemu wyrzadzić, kiedyś widział**. Niebo, lejące dary swoje na całą bezbraku naturę...? **Chęci twoie, w tym momencie nasycone, w którym uczute, nie mogły ci nigdy namykać tych złośliwych zaczeppek, do wydarcia dóbr twemu bratu, i nigdyś nie nacisnął nogami, czy to niemó-**

włęcia porwanego od piersi matki, czy starca zemdlonego laty, wyrывая im gwałtem ich własność najmniejszą. Kochanie, to przedziwne uczucie, przeznaczone do uszczęśliwienia człowieka, a które teraz wszelako gorzkie mu łyzy często wy-ciska; kochanie, mówię, było wtedy iedy-ną twoją rozkoszą. Nie umiało tego oko u-dawać, czego dusza nie czuła; najmniejsze poruszenia serca; wraz się wydawały na twarzy; rzadko kiedy porwała chętka do tego, co nie mogło iey być powolne; a przynamniej, cześć winna przyrodzoney wolności, tłumiła ją natychmiast. Pierwszeństwa, przez sympatyą zawsze poda-wane, mile i podchlebnie dotykały tych, którzy byli ich celem; a żadnego rozjątrze-nia nie rodziły w tych, których miały. Choroby okrutne! córki niewstrzeźliwości i rozpusty! niesiałyście wtedy bólu na ziemi. Ani wy wewnętrzne zgryzoty, trwo-żliwe niespokojności, uroione utrapienia, przywidziane nieszczęścia, i wszystkie pło-dy namiętności nierządnych, nie miałyście

nie tego jadu i zębów, któremi serca ludz-kie teraz gryziecie,

Każdy obiekt natury, odpowiadał iest-stwo nawyższe sercóm wdzięcznym; a mi-łość ku temuż iestestwu, łała się z serc ta-kowych, iako wody przeźroczyste z obfi-tego źródła.... Kiedy pory roku dobro-czynne, okryły ziemię niezliczonym mno-stwem kwiatów iowoców, starcy, otocze-ni gronem rodziny, zbierali z radością pier-wiałki tych darów; a trzymając ie w ręku podniesionych ku Niebu, nauczali dzia-łki wdzięczności ku dobremu Bogu. Wey-rzenia ich rozrzewnione, stały w Niebo, pełne czułości ofiary tych darów; a łyzy, toczące się z powiek, obficie dopełniały serdecznego hołdu. Dopieroż dziewczęta rwiąc kwiatki uplatwały z nich wieńce na-dobne, i iedne około szyi cieniuchnych, drugie koło bioder pieszczonych, opasa-wszy inne w rękę trzymając, i tu i o-wdzie po alabastrowym ciele z niechcenia rozpuszczając, czyniły lekkie skoki, a piosn-

kami wesołemi i uprzejmą radością, dziękowały Autorowi natury.

O! zapewne, w tych to czasach szczęśliwych, błogosławione familie gromadziłyście się około starca poważnego, przodka waszego; a przymileniami i posługami waszemi, wypłacaliście mu się za pieczołowitość jego i starania w dzieciństwie waszym podjęte. Co wieczor, składał on do spoczynku członki swoje zgrzybiałe na łóżku, świeżuchnemi kwiatkami i ziołkami ręką waszą zaślinym. Samiście uplatali mu chłodnik w południe, z rozłożystych buku gałęzi, ażeby słońce nie paliło mu głowy. Samiście go rano i w wieczór zanosili na górę, żeby miłemu wschodowi i zachodowi słońca, mógł staruszek przypatrzeć się. Tam on to wam rozповідаł; iak z żywota matki kochanej przyjął was na swoje ręce; iak nadarninie położył; iak mchem ogarnął; iak w opałce kołysał; iak poznawać i kochać Twórcę natury, was nauczał. Powtarzał wam potem starzec z iakich zdroj-

zdrojów woda jest do picia nayzdrowsza; które są ziołka, i na co pomocne, a które jadowite i szkodliwe. Pełni wdzięczności i miłości ku dobremu starcowi, całowaliście z niewymowną czułością te ręce, które was od dzieciństwa wypiełgnowały i wykarmiły. Szczęśliwy starzec, odpowiadał wam na wasze pieszczoty, przyciskając każde do łona swego. Serdecznie rozrzewnieni, wzajemnie toczyliście społem łązy czułości i kochania; i tak wam wszystkie rokosznie schodziły dni, aż do owego momentu, którego miał dług śmiertelności wypłacić. Kiedy słabość coraz większa zaczęła oznaczać bliski schyłek jego życia; podpieraliście jego członki zemdlone; sędziwą głowę skłaniał na łono dzieci swoich; a wlepiwszy w nie oczy; na ich rękę, spokojniuchno i lekko ducha oddawał. Niestychać było wtedy międzywami owego zapamiętanego ryku, skarg na Boga niebacznych; i też pełnych rozpacz. Śmierć, którą Bóg wszystkim istestwom naznaczył; niewydawała się wam złą rzeczą. Nieśli-

„ście z czeią ciało kochanego oycy, tak
 mówiąc: „Oycze dobry! wykopiemy ci
 „grób przy tym źródle. z któregoś ty
 „czerpał wodę, i nas poić w dzieciństwie!
 „za każdym razem, kiedy przyjdzie nam
 „brać z niego wodę, przypomniemy cię
 „sobie, będziemy cię wielbić, i powiemy
 „do siebie: otóż to, to samo jest źródło,
 „które nam nasz oyciec kochany, wów
 „czas jeszcze kiedyśmy dziećmi byli, u-
 „kazał; tutaj to on się najwięcej z nami
 „zabawiał; tu na kolanach trzymającej
 „nas matki z nami się cackał; tu nas pie-
 „ścił; tu ścisnął, tu całował najwięcej...
 „Oycze kochany! żadnego dnia nie opu-
 „ścim, któregośmy mogli przyść mo-
 „gile twoją odwiedzić; tu dziatki nasze
 „sprowadzimy; tu im grób twój ukażem;
 „tu na twojej mogile wieczyste zasade-
 „my cyprysy, i na wszystkich, które tyl-
 „ko napadniemy, kanieniach, imię twoje
 „zapiszem, aby nigdy twoja nie wygasła
 „pamięćka... „

Cóż się stało z temi rozkosznemi dnia-
 mi szczęścia i pokoju? Ach niestety! nie-
 masz ci ich...! Ogromnym przywalone stu-
 sem wieków, niewydaia nam się, tylko
 iakowymś wymysłem lub marą. Świę-
 ty ich obraz, rysowany na sercu człowie-
 ka, przyciły i zatarły grube cienie prze-
 sądów i niecnor; a jeżeli została w nas pa-
 mięć o nich, to na naszą mękę. Wzdychamy
 nieustannie za tą szczęśliwością,
 pierwiastkowo nam przeznaczoną; myśle-
 my o niej, mówimy o niej, szukamy iey
 wszędzie; ale darmo! na nic się to wszystko
 nie przyda. Właśnie iak ów biedny, któ-
 ry oddalony od kochanej oyczyzny, ięczy
 w obcym kraju i dzikim, pod iazmem
 tyranii i niewoli. Rzuca on często tęskli-
 wym okiem na morze rozległe, które go
 od miłej oyczyzny przedziela, przypomi-
 na sobie te szczęśliwe momenta, których
 w domu swoim na łonie rodziny używał;
 wystawia sobie zaloty i umizgi z żoną.
 pieścizoty z dziećmi, rozrywki z przyja-
 ciółmi, i zda mu się, że to wszystko trwa

ieszcze. Pełen radości, wznosi ręce ku Niebu, ale natychmiast szcęk kaydan, które dźwiga na ręku, słysząc daie się, wyjawia się omamienie, znika mara, i nic mu niezoftaie, tylko niewola, żal, i nędza.



SZOSTA NOC.

DOBROCZYNNOŚĆ.

Lube gaiki, cicha i spokojna pułtynio, kochani moi przyjaciele, którym wszystkie skrytości serca mego powierzam, co za nową słodczą poicie duszę moję! Nie mogę ani raz ieden spojrzeć na was, żeby mi serce z niewymowney iakoweysiś roskoszy nie drgnęło. Spokojne cienie nocy, szmer śromyka. świst słowików, balsamy kwiatów i ziołek, cała natura, coś mi się wydaie bardziey pociągającą ku sobie, bardziey uymuiącą, bardziey wspaniałą.

Dużo niewidoma świata! ty, która podług twego upodobania leiesz na słabych

złepków, Boskie twoje pociechy, powiedz mi, czymem się tobie na te nowe dobrodziejstwa zasłużył? Jeśli dusza moja co dobrego zrobiła za twoim natchnieniem, mamże myśleć, że twa dobroć, jeszcze więcej coś przyda do tej słodkiej odpłaty, którą już za to odebrałem?

Czyie serce, choć naybardziej zkamieniałe, nie rozrzewniałoby się....? Chodzę sobie pozapłociu mojej chatupki, widzę, chwiejące się zdaleka ziolo; przybliżam się...; a toż co? wszak to niemowle, tylko co na świat wydane...! Wlepia we mnie miłosiernie oczką; wyciąga rączki, zdając się niby żebrac ratunku... Niewinne stworzenie! coś ty złego zrobiło, żeś od wszystkich opuszczone zostało? Niepowatpiwam iż twoich rodziców, ubolawam nad nimi....; może nie mieli sposobu do wyżywienia ciebie....? możeby z twojej przyczyny padła sromota na całe życie nieszczęśliwej matki....? Przebog! i także tedy uprzedzenie, ma przewodzić nad naturą?

Co za szczęśliwy dzień dla mnie zaiaśniał, będę więc mógł uczynić dobrze iestestwu całemu.... nie będę żył samotny w mojej chatce.... otulę stworzenie, podobne do mnie, i naymniejszy niemający zmyzy występku, doświadczę iak się na pieszczoty moje będzie uśmiechać, iak za pieszczoty pieszczotami, iak za roskosz roskoszą wypłacać się będzie....?

Kochana dziecino! poydź do mojej chatki; possiy pierś tej kozy; niech ci ona będzie na mieyscu twojej matki okurtney. Patrz ieno, iak to ona, chociaż nierozumne stworzenie, czuje pociechę, że cię może zaratować w potrzebie, iak ci sama przez się pierś doyną nadaie, iak cię liże, iak muszcze, iak parą ogrzewa, i z iaką słodyczą i politowaniem to czyni...? Ludzie okrutni! to tedy zwierzęta mają wam dawać cnót przykłady?

Jak to dobroczynność napelnia serce niewymowną słodyczą! Jestże iaka roskosz

na ziemi w porównaniu z tą, którą rodzi dobry uczynek...? Ach! gdyby też to dziecie było niewdzięcznym, gdyby też niepamiętało nic wcale na to wszystko, co w jego wychowaniu podeymę; tedy wszelako, nic na mojej uczynności nie strace, o-wiem sownie jeszcze zapłacony zostanę.

Serca skaliste i nieczułe! wy, co te miłczkiem knuiecie bliźnim waszym nie-szczęście, nie kosztowałyścież nigdy tej roskoszy, jaką dobroczynność sprawuje? nigdyż ręka wasza nie otarła łez płaczący i strapionej rodziny...? Ach gdybyście aby raz jeden zakosztowali tej słodyczy; upewniam, żeby wyrządzenie najmniejszej przykrości bliźniemu, ani przez myśl wam nie przeszło.

Ale nie, nie kosztowaliście zapewne... Jeśli kiedy nieszczęśliwi doznają od was wsparcia jakiego; próżności to raczej, a nie serca dobroczynnego jest dziełem. Dacie jedną ręką jałmużnę, a drugą poniża-

cie biedaka, przymuszonego wzywać ze-wstydem dumney waszey litości. Niechże wam tedy dziwno nie będzie, że po-ciecha dusz prawdziwie dobroczynnych, jest wam zgola nieznałoma; ani utyskujcie na to, iż łaski waszę rodzą niewdzięcznych! Bliźni wasz, upokorzony przed wami, nim co wyżebrze, aż nadto oplaca się próżności, za udział dumney jałmużny.

Wszakże, nie dość natym. Rozumiecie, że groszem zasilając nędzę charłaka, kupiecie sobie niewolnika; biedak wia-wszy od was kilka piątek, których ani znący było w porównaniu z ową kupą sum odłożonych na zbytki, a bodaj nie na niecnoty, traci natychmiast prawo do myślenia po ludzku; nie jest on więc w oczach waszych tylko podłym niewolnikiem, obowiązany uniżać się haniebnie, i czołgać przed odętą waszą wielmożnością. Wyciągacie ponim koniecznie, hańbiącey podłości, i cnot tych, które wasza zatwardziałość dawno już wytepiła mu w sereu.

Znałem Dorwałę; był to człowiek godny, był to człowiek dobroczynny; ale dobroczynny bez próżności i dumy. Wolno było baidakom uciekać się poufale w każdym czasie do niego, nie znał żaden zarumienić się w oczach jego z swojej potrzeby. Łachmany żebraka, były święte u niego. Zrazu żebrak, nim poznał Dorwałę, ze strachem i z nieśmiałością przystępował do niego, ale skoro ukazał się Dorwał, wraz nędzarz zapomniał o swej biedzie, pozbywał strachu, i nabierał śmiałości i, mający za grunt mocną ufność i nadzieję. Cierpliwie i ciekawie słuchał Dorwał prośb i skarg; cierpiał z cierpiącymi, uprzedzał okoliczności, mogące zarumienić opowiadającego; miał prędko rzeczy które przez żywość do nieszczęścia stały się okazyją; nad tym zaś zastanawiał się jedynie, jakim sposobem, i jakimi środkami pocieszyć, i zaratować biednego. Myślał on bowiem sobie, że jeżeli nad wszystkimi bliźniemi należy mieć wyrozumienie i czułość, tedy osobiście nad biednemi. Wkrot-

ce zatył uśmiech przyjemny, z radością i wewnętrznym serca rozrzwieniem złączony, wydobywał się na twarz nędzarza, a Dorwałowi tręcały się łzy z oczu. Rzekłbyś, patrząc na nich, że Dorwał nieszczęśliwym, a tamten jego dobrodzieciem być musi.... Kiedy chałtak od Dorwały odchodził, skład twarzy jego, ukazywał nasycenie chęci zupełne, a serce od radości pojąc się nie mogło. Poglądał innym calem okiem na siebie, poznawał się na sobie, a mniemanie iż wart jeszcze czegoś, które wzgarda niegodziwych bogaczy, ze wszystkim już w nim wytepła była, zaczęła mu błyskać powoli. Doświadczał on, iż pomimo nędzy swojej i nieszczęścia, znalazł się jeszcze taki, co go miał za człowieka i brata. Przez całą drogę, po wyjściu z domu Dorwały, o niczym nie myślał, tylko o Dorwał. Nie tak mu tkwiło w głowie to wsparcie, które nędzy jego koniecz czyniło: jako raczej ta dobroć wylana, te względy litościwe, których doznał, i ta troskliwość, z którą się tamten przy-

sadził do wyrwania go z nędzy. Wszystko mu się wydawało, że nie pana, nie dobrodziecia znalazł, ale przyjaciela, czci godnego stanem, życzliwego sercem. Aie-żeli mu sumienie poszepnęło, iż takowego szczęścia godnym nie był; przyznawał się z szczerą skruchą do tego; ale oraz poprzysiegał, iak naysprzedzey starać się być iego godnym.... O! Dorwału! takimi to naukami były twoie dobrodziestwa!

Kiedy Dorwał siedział na wsi; wszystkich wieśniaków, na swym gruncie mieszkających, odwiedzał. Uważając swobodę, i wesołość tych ludzi, każdyby szczęśliwemi ich uznał, a znowu naczęść, uprzejmość i poufałość ich ku Dorwałowi, rzekłby każdy, iż szczęście swoje są mu winni iedynie. Lubił on zapytywać się o ich robotach, o ich powodzeniach, o ich pociechach, o ich kłopotach. Słuchał wszystko z pilnością, na wszystko odpowiadał łaskawie. Z dziećmi pieścił się, z rodzicami poufałe rozmawiał. Właśnie gdyby oy-

cieg, odwiedzający swoje działki kochane: właśnie gdyby dzieci iego prawdziwe, bawili się znim poufałe, i roprawiali o tym wszystkim, co się tylko ich iakożkolwiek tyczyło.

„Z temi to pocziwemi ludzimi, rzekł mi Dorwał dnia iednego, nayroskoszniej mi spływają życia mego momonta. Zniemi ia bawiąc się, zapominam o owych upstrzonych nędzach mieyskich; i mile sobie oddycham po utrudzeniach, których w mieście nacierpię się aż nadto. „

„Kiedym kupił te dobra, postanowiłem porobić sobie przyjaciół z moich podanych, iakoż mi się to szczęśliwie udało. D firzegłem, że wzgarda, którą mamy ku temu stanowi, bywa często przyczyną tych występków, które potym w nich surowo karzemy. Słodycz, iest rzeczą, równie wieyskim ludziom, iako i nam potrzebną. Skoro my dogadzamy tey potrzebie, okazując im przymioty szacunku, napada ich

troskliwość i bojaźń, żeby nas czym nie obrazić, a tym samym, szacunku podchlebane, niestracić. Ale skoro obaczą, iż my ich za nic mamy; iż niepatrzym ani na ich przymioty, ani na ich cnoty; tedy upadają na umyśle, opuszczają ręce, rzucają ćwiczenie się w cnotach, iako do niczego sobie nie zdadne, chyba tylko do tym większej u nas wzgardy; rozpasują się na niecnoty, dla powetowania w nich tej pociechy, którą w cnotach przez naszą niesprawiedliwość stracili. „

Pewna kabała usunęła Dorwała z łaski Pańskiej i z urzędu. Nie sarknął nic na to, spokojnie do dóbr swoich schronił się; ubolewał nad nieszczęściem Wyższych, którzy częstokroć niechcąc i niemysłąc bynajmniej, stają się narzędziami złości; ubolewał nad złościami, którzy go prześladowali; płakał nad biednymi, iż niemiał sposobności podźwignienia ich nędzy; o to się iedynie troskał i lękał, żeby ta burza, która mu na głowę złała się, przytłoczyła

też iego iakowym sposobem niezagarnęła. Nie ubyło przez ten trafunek nic Dorwałowi z istoty; stan tylko iego podpadł odmianie. Byłoto toż satno słońce, które w iednostaynym blasku i ogniu, z iednego półświata, przenosi się na drugi. Wszędzie on, gdzie się tylko obrócił, sypał obfitość, szczęście, i pociechę, czynił drugich szczęśliwemi, i sam też był szczęśliwym. Nie mogąc więcej pracować około dobra swojej oyczyzny, rzucił się cały do pracy około dobra tych, co się przy nim znaydowali. Bardzo wielu z iego nieprzyjaciół, rozpatrzywszy się i w nim, i w tych, którzy ich nasadzili na niego, rzucali mu się do nóg, żebrząc z płaczem odpuszczenia. Dorwał mścił się nad niemi, czyniąc im, ile tylko mógł, dobrze.

O! iak mało widać ludzi Dorwałowi podobnych....! tyle sobie prac i przykrości zadają, iatając za cmań uciech fałszywych, z których im się nic nie zawiezuie, tylko niesmak i zgryzota; a o te nic, nie dbają, które

nie wiele co kosztując, na każdy moment, dusze ich niewypowiedzianą słodyczą poityby! tak bogacz szuka szczęścia w szumnym i raziącym blasku dzikiej swojej wielmożności: a cóż znajduje? oto: fałszywe czczy uniżonności pokłony, oto: zawiść u równych, zazdrość u niższych, wzdargę u wszystkich, polowanie u mądrych. Najdrobniejsza cząstka tych bogactw, które- ni on podchlebstwo i czołobitność sobie kupie, zasilaby bodaj nie sto nędznych domów, otarłaby łzy nie jednemu tysiącowi biednych wdów i sierot, wznieciłaby nadzieję i radość w tylu sercach niewinnych; wskroś żołąć i rozpaczą przejętych; a iemu, prawdziwe poważenie, prawdziwy szacunek; prawdziwą wdzięczność; u swoich bliźnich ziednałyby; a co nadewszystko, owę roskosz tajemną, która tak jest istotnie z szczęściem człowieka złączoną; która wszystkie, jakie tylko są życia tego słodycze, nieskończenie przechodzi; tę, mówię, roskosz, po sercu jego rozlałaby.

Ale

Ale przebóg! cóż to za wrzask uszu moich dochodzi? słyszę krzyki żalu i rozpacz; bełty dymu czarnego i płomieni wzbija się nad lasem, blask łony rozciąga się po łączy i wszystko strachem napelnia. Ciemności nocne chowają się za górą; zwierz przestraszony wyskakuje z kuli i goni się za niemi; a ptaszyna ustraszona we śnie, spada z gałązki, trzepocąc się po liściach drzew i krzaków... Biegnę....! ach! biedni kmiotkowie! cóż to widzę! wasze chatki ubogie są łupem srogich płomieni! zajmują się; palą się; trzaskają od ognia; a w pośród tych trzasków podnoszą się krzyki przeraźliwe nieszczęśliwych pogorzalców!...

W tłumie ludu, uwielającego się w pożarze, postrzegam Alexa młodego pafuszką; chłopca właśnie w roku piętnastym; alic on załamawszy ręce, przeraźliwym głosem zawoła... „Oycze mój! oycze!”, z rzuwonym płaczem i szlochami to samo wszystko powtarza; i w ogień chce skoczyć....

1

Widzi to i słyszy Menander; chwytą go...; a choć mu się w tym momencie własna chałupa zajmuje; niedba o to, życie człowieka więcej sobie waży, niż największy majątek. Skoczył w ogień.... Nie widać go.... Trzeszczą węgły domu.... Dach się zapada.... Zgiął zapewne.....! — By-najmniej.....! Wypada ogorzały i współspiekły; wynosi na ramionach starca, umarłego na poły....; u nóg Alexemu go składa.... Alexis niepoymie się z radości, zalewa się rzewnymi łzami, biega, to od oycy do Menandra, to od Menandra do oycy, i obydwóch na przemianę serdecznie ścisła i całuje....

O! Menandrze! pyszni się teraz temi bliznami, które ogorzelizna zostawiła ci na twarzy; świętniejsze one są bez porównania nad te wszystkie tytuły, które z takim szumem burzyciele rodzaju ludzkiego, późney potomności zwykli przesyłać.

Ustał przecie pożar, owóż drugi widok. Mężczyźni i niewiaſty, uwinięci w szmaty niedogorzałego w ogniu odzienia, leżą biedni przy tłących się chatek swoich pieczyskach.... Starcy stroskani, dumają powieszawszy głowy, nad nieuchronnym tullaniem się i nędzą..... Matki tulą dzieci do piersi, oblewając je łzami, iż zgłodniałe i ieść krzyczące niemają czym nakarmić..... Młodzież z wszystkiego wyzuta wznosi z żalem ręce ku niebu.... Owo zgola wszyscy w żalu i w rozpaczach nad nieszczęściem swoim i zgubą....

Bądźcie debrey myśli, biedni ludkowie! patrzy Bóg na wasze utrapienie, on was nigdy nie opuści. Oto wam zsyła do broczynności. Zstępuje ona z niebios wysokich, wchodzi w serca braci waszych, do łitości i ratunku waszego one zgrzewa.... A co? nie prawdaż....? Niewidzicież iak się zewsząd sypią do was? iak łzy wasze ocierają? iak wam dają żywność odzienie.... Domy wasze, z smutnych po-

piołów, daleko piękniejsze i wygodniejsze, niż były przedtym, powstaia, i nie masz w was innego śladu nieszczęścia, iak wdzięczność, która was łączy z dobrodziejami waszemi.

Duszo niewdzięczna! nieszemray oddaś przeciw Opatrzności niebacznie. W tym momencie, w którym ona wydając cię nagiego z żywota matki na świat, zdaie się na wszelkie nieszczęść wypadki wystawiać cię, więcej czyni dla ciebie, niż dla innych stworzeń, których uprzedza wszystkie potrzeby. Uznay w tym nieskończoną iey dobroć, iż ciebie do wysokiey sprawy, to jest ratowania swego brata przeznaczą. Bóg staranie około wszystkich stworzeń żyjących, bierze wprost sam na siebie, ale staranie o człowieka, drugiemu człowiekowi powierza, przypuszczając go iakoby do uczestnictwa z sobą władzy przeznacney, i rozkoszy niewymowney, czynienia dobrze czułym stworzeniom.



S I O D M A N O C .

P R Z Y I A Ż N .

Gdzie są te kwiaty, które napuszczaly balsamem nasze chłodniki? gdzie te zioła świeże, których barwą i zapachem przyjęcone zdala churmy powolnych zefirów swobodnie sobie z motylami igrały....? Nie masz ich... Co za dziwna odmiana....! Jesień, na brudnych unoszona obłokach, w okrytej mgłą postawie, ku nam przychodzi, podnosi dobroczynne berło, i żyzne panowanie nad wioskami zakłada. Ziemia, od opadłych kwiatków pożółkła. Istoty stałsze, nastąpiły na ich miejsce po drzewach. Pęcznieją coraz bardziej, im się bliżej ich bogini przymyka; aż nareszcie

za iey przybyciem, w tysiąc barw rozmaitych stroją się. Co za nowy widok! drzewa owocowe, chylą się coraz bardziej ku ziemi, a żółty owoc, którym są obciążone, właśnie niby im do ust podają.... Jabłko i śliwka, napuszczone szkarłatem, same przez się do rąk cisną się, a grona winne, rwiąc się w pukle z chłodnika, uwitego przy wejściu do moiej chatki, opadają przy progu zdając się niby o pierwszeństwo do mego stołu walczyć między sobą i iść na wysięgi.

Miły Boże! iak to natura przymila się człowiekowi! z iakim przywiązaniem opatruje iego potrzeby! z iaką rozrzutnością i zbytkiem im czyni zadosyć! „Byway, mo-
„wi ona do niego z wdzięcznym uśmie-
„chem; byway co tchu, zbieray te ro-
„skoszne owoce, i z pięknoscią ie na po-
„tym zachoway sobie. Nie zadługo będę
„musiała usnąć ziemię, żeby wypoczęła,
„i do rodzenia świeżych darów dla ciebie,
„sposobniejszą stała się. Wkrótce, same

„tylko ostre krzewy i łodygi ukażą się,
„same tylko martwe drzewa, bez liściości,
„kwiatów i owoców zostaną; owóz w te-
„dy będziesz się zasilac tym wszystkim,
„co ci dzisiaj ofiaruję. „

Ach! inżci ta przeraźliwa zima, co całą naturę trętwi, nadchodzi. Siwe Akwilony poprzedzają ją świszcząc: rozprowadza po płonnych polach swą posępną zasłonę. Skrzepła ziemia, inż więcej rośliny, ożywiającym sokiem nie zasiała; drzewa tu owdzie biorą na się ubior żółtawy, a liściek pozbawiony ożywiającego soku, omyka się z gałązki, i na zcierpłe kłaczce, wiotki upada.... Lube 'gaiki! to inż tedy nie obaczę was więcej? to inż tedy w cieniu waszym dobroczynnym znoionego czoła mego chłodzić więcej niebędę? wasze nagie gałązki, przywalone śniegiem i lodem, stękać będą żałosnie....; a wy, wonne iak roskoszných, kobierce, na których mi nie raz słodko było usypiać, inż się tedy wniwecz obrocicie....? Groźne Akwilony, wyżeną

precz wesołe zefiry, które po was, pamiętam, swobodnie sobie nie raz uganiały się i tarały.....! i śrumbryk zasklepiony lodem, jużże więcej po odartych z murawki brzegach toczyć się pewnie niezechce.....!

Ach! w tych smutnych zimnych czasach, będę siedział sam i jedn zamknąwszy się w mojej chatce, myśl moja będzie mi przywodzić na pamięć wszystkie przepędzone życia mego momenta, westchnę nieraz nad niemi, i rzewnymi łzami zaleję się! Tak jest: sam jeden tylko będę: serce moje nie będzie się miało komu powierzyć, chyba sobie samemu.....! Niebędę miał sposobności uściskać iestestwo, do mnie podobne.....! Nie będę miał sposobności wylać uczucia duszy mojej na jego łono... Przebóg! nie maszże nikogo, żeby przyszedł, na tę odludności mnie rozerwać.... I nie znajdę przyjaciela żadnego....? Nie masz przyjaciela dla tego, co na odludnej siedząc puścił, spokojne sobie i niewinne życie prowadzi. Wszyscy sronią od takiego....

Czyliż więc i wy, niewinne zwierzęta, będziecie sronić odemnie....? Ach! nie, nie sronicie; bójcie się, podźcież domnie; ja nie jestem waszym tyranem... Kochane owieczki, nie przestajcie mi dodawać po dostatkim mleka waszego, żebym miał się czym posilić: pozwólcie czasem zebrać z siebie cokolwiek wełny, zbywającej wam nad potrzebę, i zapewne ciężącej; a nie troszczcie się, żeby wasze dobrodziejstwa miały umnie iść w niepamięć.... Nigdy ja we krwi waszej, rąk moich nielitościwych i niewdzięcznych nie zbroszę. Nigdy para z wnętrzości waszych nie powstanie w mojej chatce.

Nigdy ja nie kosztuję mięsa z tego stworzenia, które mi przez całe swoje życie szafuje wełnę i mleko, albo w jarzmie na roli na chleb dla mnie pracuje. Nie niebójcie się niczego odemnie, kochane zwierzątka; wy jesteście prawdziwemi przyjaciółmi, a ja mam was za moich dobrodziejów. Posłuchajcież mego głosu, skłońcie

się na moje wzywania, przystąpcie poufa-
le do mnie, bierzcie śmiało z moiej dłoni
posilek; nie drgajcie ze strachu pod mu-
skaniem tej ręki, która was żywi; nie,
nie umie ona zdradzać, iako drugie ręce in-
nych ludzi.

A i ty też, kochana towarzyszek mo-
iej pułtyni, wierny stróżu moiej chatki;
ty rzetelny wzorze przywiązania, iakiego
świat zepsuty niezna teraz, zapewne bę-
dziesz mi słodzić moję tęsknotę; smutek
twój, będzie odpowiadał mojemu, i zapa-
łom; ty mnie nigdzie nie odstępisz, ty
mnie z troskliwością strzedz, a w przypad-
ku, do upadłego bronić i ratować będziesz.
Choćby wszyscy Monarchowie świata,
wszystkie swoje skarby ci dawali, wiem,
żebyś mnie nigdy dlanich nieporzuciła,
wiem, że moja chudoba, nad wszystkie
skarby świata droższą jest u ciebie ... Ty
ostatni dech mój przy zgonie, we łzach i
szlochach przyjmiesz z ust moich.... Two-
je jęki mnie zaprowadzą do grobu.... Twój

żał i rozpacz, ostatni obchód mi wyprawi,
a zamiast pamiętnego nadgrobkę, sama na
mogile moiej trupem polegniesz!

I mamże ja jeszcze, tej czczej chime-
ry, którą ludzie zowią przyjaźnią, żało-
wać....? Niedosyć że nabyłem się igrzy-
skiem iey omamień i fałszów? Gdzież
są te momenta, w których serce, na wspo-
mnienie przyjaciela, od radości mdrgało...?
Kiedy moje czułe weyrzenia, czyniły z
serca ofiarę cało palenia lubym stworze-
niom....? Kiedym skakał od radości, my-
śląc sobie, że to ten dzień zaiśniał, któ-
rego raz na zawsze mam zawrzeć święte
związki przyjaźni....? Jakem ja to w ten
czas do serca mego przyciskał.... Jakem ja
to był szczerzy...! rozumiałem, że przytu-
lałam przyjaciela....; nieestety! a wszakci to
był człowiek? wszak to zdraycę przytu-
lałem....! zdrayco! tu dopiero musiała mnie
twoja ręka wiarołonna, i tu oraz czato-
wała gdzieby mnie pchnąć....! i nie czuliś
niegodziwy! rych łez, któremi po tyle

kroć złałem twoje łono....? I nie czułżeś, iak serce moje, przyłożone do twego, mocno biło....? Tak daleko byłeś jeszcze okrutnym, żeś się ważył z mey czułości urągać? tak dzikim, iż moiey lekkowierności i młodości niewzdrygnęłaś się na złe używać...? Tyś mi wydarł te dobra, któreś tylko co naidroższe znalazł we mnie...! a kedy ja spaliłem na ofiarę przyjaźni, wszystko co miałem, tyś mnie w tedy odepchnął od siebie, i na cel pośmiwiska wystawiłaś....! nie straty to tych dóbr ja żałuję, nie; ale nad tym oszukaństwem boleję, na którym zasadzałem moje szczęście. Właśnie to zemną stało się, co z człowiekiem, który przechodząc się po roskoszonym ogrodzie, wpada niespodzianie w przepaść, która się nagle pod nogami jego otwiera.... Nie tysiąc razy serce moje żądało przytulic się do serca drugiego, wszędzie czuley duszy szukałem, żebym mógł z nią moję łączyć; niestety! parę goniłem, która w tym momencie rozprysła się na

powietrzu, kiedym mniemał, że ją chwytam....!

Przyjaźń z cnotą przyszła z nieba; skoro niemasz cnoty na ziemi, to i przyjaźń znikła za nią. Właśnie, iak to słońce, co rozwesela i ogrzewa niwy nasze, skoro tylko czynności jego promieni nie są na przeszkodzie obłoki; tak i przyjaźń, słońce duszy, nie może należycie rozpostrzeć się z swoim światłem, iak prędko gdzie zbiją się czarne chmury występków; ani rozgrzeje to serce, które nie oddycha czystym niewinności powietrzem.

O! przyjaźni! dziwerodzie omyłay, już ja więcej w upędzaniu się za tobą, pracy sobie nie zadam. Zamknę się w moim sercu, a z sumienia mego zrobię sobie przyjaciela. Szczery ten przyjaciel, śmiało mi będzie zawsze moje przewinienia wyrzucać.... Ludzie! już ja odtąd przyjaźnią waszą zaszczycać się nie będę; ale też za to, serce moje igrzyskiem wiarołom-

stwa waszego nie zostanie. Kochać was będę, niewyciągając żadney wzajemności od was; a na waszę złość i chytróść, stanę pogotowi z mężnym i przytomnym umysłem. Zachwycony bysłrym pędem życia, puszcze się w pław, gdzie mnie obrot jego poniesie; i nigdy nie przypuszczę do głowy, żeby upędzać się za obiektami, które opodal odemnie pędzą jego nurty. Kochać, iest to rokosz bardzo miła, poiąca serce niewymowną słodyczą; ale być kochanym, iest to chimera. Biada duszy prostej i niewinney, która fałszywym o-mamieniom przyjaźni daie się uwodzić! męki i naydroższe katownie sobie gotuje.

Dwaj przyjaciele, ściskają się serdecznie; spokojnie ieden na drugiego łonie spoczywa, szczęście, tym więcey ich pie-szczoty zapala.... Alic zagnęła zabrzmięła trąba Bellouy: sława, duma, szczęście, mignęły im w oczach nadzieię swoich darów.... [Cóż się dzieie z owemi przyja-ciołmi? Oto słygną ku sobie, oto odwra-

cają, się od siebie, oto odpierają się w za-
iemnie, niknie przyjaźń, następuje niena-
wić, a o brednię, o ten wiatr co wieie,
krwawa kłótnia i biwta.

O ty! którego światło tę od ludzi za-
mieszkaną kulę obiega, kręgu słoneczny!
wieleż napatrzysz się przyjaciół, od o-
wego momentu, w którym wioski nasze
porzucasz, aż dopokąd nazad do nich nie
powrócisz....? Wiele też narachujesz szcze-
rych przyjaciół....? Wielu to wiarołom-
stwom, i na tamtym pół-świecie, musisz
przyświecać....? Wielu złodajców ukry-
wa się pod twym światłem, dla knowa-
nia potajemnie zguby duszy niewinney,
która w prostocie i szczerości powierzyła
im swe serce....? Oto ta mała wiosieczka,
w której ledwo kilka widac chatek, za-
myka w sobie przykład nieszatku w przy-
jaźni. Oront pasterz, za każdym razem,
czy to pierwszym promykiem, podnosząc
się rano nad lassek, chatkę iego oświecisz;
czy też ostatnim, zapadając za górę, nado-

chodzącą mu noc zapowiesz, wzdycha serdecznie; oplakuje Nicyasa rzewliwie; ach! Nicya! którego on iedynie kochał nad wszystko; Nicya! który dla szczęścia, odstąpił słodkich związków przyjaźni! O! wy dusze czułe; czytajcie powieść tych pasterzów, którą Oront wyrzył na korze rozrzuconego buku, stojącego przy zieloney pod tą górą dąbrowie! czytajcie i płaczcie nad niedolą obydwóch.

„ Oront i Nicyas, żyli w najściślejszej z sobą przyjaźni. Obydwa nbdy, obydwaj pasterze, obydwaj po iednej mieli trzodzie. Trzody te, pomieszane z sobą; hurtem na iednychże pasły się pastwiskach, i skakały sobie, na głos fletni, wygrywających obu zgonie pasterzy. Przy schyłku dnia każdego, iedna owczarnia przyjmowała na noc trzodę, a pasterzów iedna chatka. Dwudzieste właśnie strzyżenie owiec, tej przyjaźni i iedności minęło... Pe- wnego wieczora, odprawivszy zwykłe „ pie-

„ pienie na cześć Bóstwa świetności, siedli sobie na pagorku pasterze, i poufale z sobą bawili się... — Nie, kochany Oroncie, nie, rzekł Nicyas; żeby mi wszystkie całego świata ofiarowano gro- mady, ja cię nigdy nieodstąpię... Tylko co dokonczył te słowa, tuż starzecia- kiś do nich przychodzi — pasterze, rzecze, nie wiecie też gdzie mieszka Tytyr, ieden z najstarszych tej osady pasterzy...? — Mój to oyciec, odpowie Nicyas; ale nie żyje; już to temu dwa lata, iakem go w tej tu łopolinie pochował. — Toś ty tedy Nicyas? odezwał się starzec; — tak jest, rzekł Nicyas, albo co? — Oto to, mowi starzec; słuchaj, mam ci takie rzeczy powiedzieć, nad któremi zadziwisz się niezmiernie. Tytyr, nie był twoim oycem; wyższego ty daleko jesteś urodzenia. Oyciec twój był panem bardzo wielkich majątności w tej stronie. Obwiniony o ucześnieństwo w spisku przeciw Monarsze, przymuszony był, wkrótce po twoim

„urodzeniu uciekać. Oddał cię na ręce
 „pocziwego Tytyra; kazał cię nazwać
 „Nicyas; lękać się, żebyś dla wspolne-
 „go z nim imienia, nie został ofiarą jego
 „nieszczęścia. Puścił się tedy w świat,
 „i ze wszystkich sług, mnie sobie przy-
 „brał za towarzysza swojej podróży.
 „Po dwudziestu latach, doczekał się, że
 „się wyjawiała jego niewinność; powra-
 „cał tedy, w gorącej żądzy oglądać
 „ciebie i ściskać iak najprędzej; ale
 „śmierć niespodziana pomieszała jego za-
 „mysły, i niepozwoiliła ani oycu znać
 „syna, ani synowi poznać oycę. Ale te
 „papiery (wyciął starzec z zanadrza pęk
 „różnych szpargałów) te są niezbitym do-
 „wodem tego wszystkiego, com ci dotąd
 „namieniał. — Jutro jeszcze, kiedy zechcesz,
 „panem dóbr, spadłych na cię po oycu,
 „zostać możesz.... — Przez cały czas mo-
 „wy starca, stał iak wryty Nicyas; nako-
 „niec łzami się zalewa, i pod pachę Oron-
 „ta, twarz swoją kryje.... Nazajutrz u-
 „dał się do dóbr swoich, był z nim Oront.

„Okoliczność ta, mocno między ludźmi
 „gruchnęła. Panowie, i wszyscy mają-
 „tnieysi ziemianie hurmem zewsząd zie-
 „chali się z powinszowaniami pastercwi,
 „którego dotąd ani znali imienia, i naktó-
 „rego, dniem przedtym: żadenby au-
 „i spoyrzał. Nicyas był pan *de Floricourt*.
 „Wkrotce on nabrał pańskiego humoru,
 „wkrotce i pańskich występków, a Oront
 „poszedł w niepamięć.... „

Biedny Oront, w nientulonym żalu po
 stracie przyjaciela, tuła się samotny po
 tych pastwiskach, na których mu Nicyas
 nie tysiąc razy wieczną przyjaźń poprzy-
 siągnął....; pyta się nieborak u głuchych
 echów o tym przyjacielu, za którym ser-
 ce jego nieustannie wzdycha.... Fletnia jego
 same tylko treny; i to szlochami przerywa-
 ne, wydaie.... Tak nakoniec Oront, z ża-
 lu i rozpaczcy umiera; nieszczęśliwy! że w
 chimere przyjaźni uwierzył!

OSMA NOC.

M I Ł O Ś Ć.

Precz mroźne Akwilony, co w niwecz obracacie ziemię; świsły wasze i szturmy przerażają stworzenie uiewinne! przybyway lekki i łagodny Zefirku; przybyway, i przybyciem twoim orzeźwiay obumarłe bez ciebie okolice; przybyway, mowię i przywroć nam miłuchny powiew spokojności i roskoszy. Oto wdzięczny fiałek, z pod śniegu młodocianą barwę wystawia, chcąc się z tobą przywitać nayıpierwszy. Oto strumyk, połamawszy lody, które go w więzach całą zimę trzymały, buia sobie po zielonych łakach nadęty, a do igraszek z żartkami ponikami swewi ciebie wyzy-

wa. Oto Nimfy, ocuczone szmerem iego; wyścielają mu drogę kobiercami z młodocianey darniny; a Flora gdzie niegdzie, wonną ręką świeże kwiatki potrząsa.... Już teraz, ani głuchego w gołym lesie szumu, ani obłaiących się o kolce gałęzi łaskotu nie słysząc. Tysiące rozmaitey wysokości piramid, wznoszą się ponad ziemię wspaniale; a gęstym krzewem odziane, wstrząsając, radują się powszechnie, i witają się z sobą. Potok, bystro z góry toczy się, a zpieniony nagłym pędem, na pobliskiey dolinie osiada. Śniegi słońca promieniem dogrzane, spieszenie z pola uślepiają, byle tylko gdzie dopadły wody, topią się....

Wiosna, cała w wieńcach i kwiatach, zstępuje z niebios pogodnych. Roskoszy, hurmem za nią cisną się. Para iakaś lekka, na powierzchność ziemi zstępuje, i do wnętrzości iey wskroś przenika. Co tylko żyje na ziemi, wraz iey mocy doznaje. Łagodna wąłość, wszystkich oczy obciąża.

za; płomyk pożądliwości rozchodzi się po żyłach; rozkosz wszystkie serca napętnia: miłość. pania ziemi udzielną; miłość, rozkazuje wszystkiemu stworzeniu.

Praszki, szukają z upragnieniem lubych towarzyszek; pełni zawisci, żwawe o nie toczą utarczki. Tysiąc minie między nami różnych walek i zawodów wprzód nim szczęście za którego stronę wskaże. Raz, w całym blasku pier nadobnych naieżone, ukazują się: drugiraz, wdzięk głosu, moc piersi, deliktność gardzielka do śpiewania wydaia. Już każdy z osobna, subtelne trele wywodzi; inż znowu strofami na przemianę niby sobie odpowiada; to się wabi, to się wadzi, to się miesza, to się głuszy; aż do póty, póki miłość, rozstrzygając ich kłotnie, upragnioną zdobycz odda zwycięzcy.

O! ty! którą dobroczynne Gracye, cudnemi swemi boynie obdarzyły wdziękami, młoda pasterko, a widziszże iak ros-

koszne zioła i kwiaty, zlekka giboczą się wśród murawki zieloney....? A widziszże, iak promienie Xieżyca wkradaia się między liśki drzew w sadku....? Jak to one mieszaia się z cieniami nocnymi? Jak ie roztwarziaia swoją światłością? A iak od nich na wzajem pożyczają cery brunatney....? Nie jest to, ani światło, ani ciemność; ale to jest mieszanina przyjemna temu wszystkiemu, co tylko w nich naysposobniejsza i naysposobniejsza znajduje się. Otoż to tu miłość gotuje ci tysiąc rozkoszy; tu, w tych gajkach, całą wnęę swych słodczy wylewa.... Jużci widzisz tego pasterza, do którego serce twoie zdawna wzdycha.... — Spoyrzał na cię, a tyś oczy w ziemię spuszcila.... — Wyciska ci na ustach różanych, zadatek czuley miłości, a ty lice krwią rumienisz; rozumiem: jest to znak walki wewnętrzny wstyd z chęcią.... Chciałaś zeyść mu; i tręfunkiem udałaś się ku gajkowi.

Wnęta tajemna, tam was ciągnie oboje. Bierze cię kochanek za rękę, ty mu ją wolnie podajesz.... rozprowadza gałęzie.... wiedzie cię za sobą.... schylasz głowę.... (nikniecie.... a miłość, odwiedzione gęste gałęzie. nazad za wami, tak iak byty, zaciąga....

O! momenta roskoszne! miłość was darami swemi nasycza, miłość was poi swoją słodyczą....! Tak jest; galk jest świątynią, w której natura swych dobrodziejstw miary dopełnia.

Wszakże, człowiek przeistcza na niewecz, te szacowne upominki matki kochanej. Miłość, co dla wszystkich innych zwierząt jest słodyczą, dla człowieka jest męczarnią. Bardzo prędko to łube stworzenie, które dopieruchno było u niego źródłem wszelkiej słodyczy, stanie się w oczach jego podłym niewolnikiem; będzie on z nim postępować sobie dumnie, będzie hardo domagać się tych pieszczot, na które nie

dawno starał się zasługiwać przez podłość; a nakoniec zawiść, niegodziwe plemię dumy, wiecznym jadem serce jego zarazi.

Miłość, jest tylko potrzebą, której żeby się czyniło zadosyć, natura przywiązała do niej, dla przynęty, nayroskoszniejszy uczucie; co tylko do tego prostego pojęcia więcej nadto człowiek przyda, nie będzie, tylko grubym zawodem na jego utrapienie.

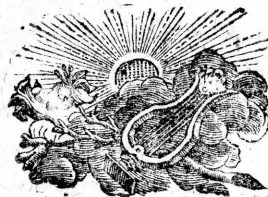
Nie miłość to, nie, czyni ludzi nie-szczęśliwemi; ale chimery, których nierządna ludzka imaginacya poszuksie w swoich uciechach. Do iakich dzikich rzeczy i dziwności, nie przyszło to roskoszne czucie u ludzi! oto w jednym mięyscu sromotę jest, zbierać pierwiastki świeżey piękności; ale rzecz ta porucza się naypodleyszemu słonowi. Na drugim, ubiegają się za pierwiastkami, aż do wściekłości; na innym, też pierwiastki, idą na ofiarę bałwanom czyli ra-

czy ich popom. Są takie kraie, gdzie wżgarda jest udziałem piękności, nieznający kochanków. Każda zabawa, jest zwycięstwem dla ładnej; a im więcej liczy wygranych, tym więcej do zacieyszych zdobyczy prawa nabywa. Są i takie kraie, w których pomienione zabawy, poczytane bywają za słabość, owszem za występki. Nieszczęsne stworzenie, uwiedzione skłonnością, podpada wżgardzie, sromocie, i śmierci. Znam narody, w których mężowie ofiarują sami przez się, żon swych powolność; łaskę im i cześć wielką wyświadcza, kto ofiarę przyimaie; nie przyjąć ofiary, jest to samo, co dać dowód niechęci, która głupców aż o rozpacz przyprawia. Znam też i takich, co iedno tylko rzucenie okiem żony na mężczyznę, nieuleczonym jadem wszystkie dni ich życia zaraziło, a lekki pofterk, trucizną i żalem był wetowany.

Nieroztropni! za istnemi chimerami gonicie się; o chimery, głowę sobie gry-

zicie; na chimerach szczęście wasze zaszadzać; a tego nie wiecie, że miłość, iedno tylko zna prawo, to jest roskoszy; przypatrzcie się zwierzętom, iż one idą za naturą, a miłość szczęśliwemi je czyni.

Ich roskoszy, nie ciągną więzów za sobą. Wolne tak przed iako i po ucieście, potrzebą samą sie gromadzą, roskoszą łączą; wychowem dzieci utrzymują się w stadzie; po czym, iedno dracie upuszcza, aż do czasu, w którym nowe potrzeby, do nowego związku zniewolą.



DZIEWIĄTA NOC.

S Z C Z Ę Ś C I E.

Już to niema więcej tych czasów szczęśliwych, kiedy człowiek trzymając się w objęciach prostej potrzeby, wszędzie łatwo znajdował, czym się nasycić! nie masz tych czasów, w których człowiek chodził sobie wolnie po ziemi tak, jak swobodnie ptacy po powietrzu bujały....! minęły te czasy; to też i szczęście z nimi zniknęło. Samotność niegodziwa, zniszczyła naturalną równość. Pycha wylęła się na ziemi; jadowita iey para, wygubiła wszystkie cnoty; a natomiast wszelkiego gatunku zbrodnie porosły.

Ludzie nieszczęśliwi! próżno szczęścia wzywacie, daremno wyciągacie ręce ku temu nieubłaganemu Bóstwu.... Czy podobnaż to rzecz, żebyście wy szczęśliwymi byli, kiedy względem waszej bytności, żadney pewności i bezpieczeństwa nie macie...? jak możecie, choć na moment, oblicywać sobie szczęście, gdy co moment, okrucieństwo braci waszych na was dybie....? Wybiycie sobie z głowy, owo niegdyś przeznaczone wam szczęście; całym waszym teraźniejszym szczęściem jest, krzątać się około uniknięcia nieszczęścia, inaymnieyszym słupniem, jeśli można, ulżyć nędzy sobie.

Pewnie na was, wirolomcy, szczęście moje mam zasadzać....? Dosyć, aż nadto dosyć, dalsze mi poznać sztuczki wasze: dusza cała wstrząsa się we mnie, skoro tylko rzucę okiem na was. Jestże cokolwiek na świecie, czymby serce wasze ująć, i spokojność sobie kupić można było...? Talenta, zaostrzaiać waszą zawist; cnota, o-

chydę; trapić biedaka, który niema, albo tyle siły, albo tyle złości, żeby pierwszy odważył się was trapić; i tym więcej go trapić, im właściwiej mu przypada, ięćć nie sarkac; boleć nie wetować.

Potega, honory, bogactwa.... O! fałszywi! co zawsze obiecujecie szczęście, a nigdy go nie dajecie....! I ty! co za szczęściem, iak i drudzy twoi bracia także wzdychasz, a los cię w niewoli na świat wysadził! bądź pewien, że tu na tym świecie nie ma szczęścia dla ciebie: za wysokie to na serce twoje zamisry. Oto dwa kresy twoje; cierpliwość, i śmierć; te są całe dobra twoje, szczególnym działem wyznaczone na ciebie.

Tak, tak, cierp w cichości, jest Bóg dobry, który patrzy na twe utrapienia, i w cz sie potrafi ci ie nasłżycie nadgrodzic. W naturze, po przykrości, następie ros-kosz; jest to Prawo powszechne, które do-brotliwy oyciec natury na wieczne czasy

ost nowił. Tak boleści, przy wyjściu na świat, są wstępem do słodczy życia; zmordowanie, wiedzie do spoczynku! po utrapieniu, następie wesele; tak podług tego prawa, śmierć nawet sama, do daleko szczęśliwszego życia prowadzi.

Czułe stworzenie, stworzenie niewinne, a przez całe życie swoje cierpiące, byłoby najnędzniejszym ze wszystkich stworzeń stworzeniem, gdyby mu Opatrzność niegotowała, za najlżejsze umartwienie sówitey nagody. Ta iedyna myśl, oświeca promykiem nadziei ciemne katusze, w których jęczy niewinność porzucona rozpacz; ta myśl, rozwesela umysły, nayęższym smutkiem przejęte; ta myśl, serca zapala, ażeby szły odważnie na plac śmierci, i nieustraszonym okiem poglądały na narzędzia swoiey katowni!

Ale wy! co to innych dolegliwości i przykrości nie znacie, iak tylko które z przesądów waszych i niecnot samy sobie

zrobicie; wy, których zdradliwemi swemi dobrodziejstwami obsypuie fortuna, wczym też przecie upatruiecie wasze szczęście....?

Widzę is te rozległe mąietności, w których sądzicie, żeście szczęście znaleźli. Próżność tam przewodzi, ustawicznie obiecuje roskosz, ustawicznie ją wzywa do siebie; ale ta isć wzbrania się. Sztydzi ona i z głupiego bożyszczu, umyka przed nim, a do chatki cnotliwego kmietka co tchu leci, nurząc serce iego w potokach słodkich uczuciów. Widzę znowu syjące się iedne za drugimi poztłociste wasze orszaki; szum bistoru zdala ieszcze cześć wraza, a wykwinność stroju, i przysada w paradzie, do pustego śmiechu pobudza. Zaczynacie rozmawiać; alic zaraz podłe podchlebstwo, ton pierwszy, mowom podaje: za nim kłamstwo, z ust do ust przechodzi; naostatek potwarz i obelga nieprzytomnych, dopełnia miłej zabawy. Cóż to? czoła pogodne...? twarze wesole...? grzmia śmiechami

chami sale nabite...? Niewierz temu; zayrzyj w oczy wszystkim z osobna, ja obaczysz, iak każdy wszelkiemi sposobami sili się, pokryć powierzchowną wesołością, tę zgryzotę, która wewnątrz serce iego pożera.

Ale owoż nowy widok, pociesniejszy sceny nam wystawia. Rozstawiają stoliki, zbierają się do nich, siadają. Jakieś klejone papierki, napuszczone kolorami, bystro uwiaiają się po ręku, ieden ie porzuca, drugi weźmie, ten miesza, ow porządnie rozkłada; owo zgola, ta gra dziecinna, całe trawi godziny. Co ja mówię, dziecinna, a wszakei to powab iakiś tajemny, warzy w sercach, iakoby w kotłach iakich, mąietności wszelkiego gatunku! boiaźń, radość, gniew, zazdrość, nienawiść, nadzieia, rozpacz, przebiegają się po twarzach w rozmaitych kolorach. Złoto, uwiaia się do koła; radość iednego, iest przyczyną smutku drugiego, od iedney karty czasem, los zawieś domu całego.... Szale-

L

ni ludzie! i wyż to w zgiełku namiętności, na niespokojności i zgrzyzocie, te trawidła godziny, którebyście na miłej zabawie mogli przepędzić...? Gdzież to szukacie tych prawdziwych serca roskoszy...? Oto one są przy was, oto są w waszych domach, oto na łonie waszej rodziny. Zaproście je tylko do serca swego; upewniam, iż hurmem się rzucą, iż was rozrzewnią, iż wam dopiero poczuć dadzą, co to jest to iedyne szczęście, którego człowiek może zażyć na ziemi.

Sentymencie drogi natury, czyste i nieskażone sumnienie, życie pełne cnot i chwalebnych uczynków, wy to jesteście, wy rzetelne i iedyne człowieka na tym padole płaczu pociechy! Wy miłuchną roskosz serca iego poicie, wy istotnym tu na ziemi iego szczęściem jesteście! Szczęśliwy ten, co się Stwórcy swemu w obowiązках należycie uiszc; szczęśliwy, co najmnieyszą parą niecnoty, czystości myśli swoich i postępków nie skaził; szczęśliwy, który wszy-

skie życia swego momenta chwalebne i zacne dziełami naznaczone rachuje; szczęśliwy, co starości swego oycy wypłaca się usługami za podjęte około siebie trudy w dzieciństwie; szczęśliwy, co spędziwszy cały wiek na zabiegach koło dobra swej rodziny, niema nic sobie zarzucić, żeby w czym iey ubliżył; zaczynam z sowy, od serc wdzięcznych za swoją dobroczynność wzajemności cieszy się; od wiernej i statecznie przywiązanej małżonki odbiera nieofityte dary miłości; a zaci synowie, niewinne wnuczeta, statkiem swoim i skromnością, rozrzewniają iego serce oycowskie, cieszą iego tęsknoty, rozestani mostem u nóg iego, biorą we łzah i szlochach serdecznych, obite dla późnych szlachetnych potomków błogostawieństwo. Niechay mu zawistna fortuna wydrze cały iego majątek! niech ogień dom iego i z zapasem całym pozrze! nic to iego nie miesza. Drze się śmiało, i statecznie postępuje przez najcięższe utrapienia pociski; brnie przez pożar; oycy, ziącego w szród płomieni star-

ea, na plecach wynosi, dzieci z matką na swych rękach z ognia wydzwiga, składa drogie brzemię na dalekiej od pożaru łące: tam się z niemi pieści, tam się do nich mile uśmiecha; kontent, że to co ma w życiu najdroższe, uratował szczęśliwie. Ogląda się, aliści dom z łoskotem przeraźliwym zapada. „Niech się wali, rzekł krwią zimną, nie szkodzię bynamniej, bo mam wszystkie moje dobra wcałości... „ O! ludzie, podajcie mu tylko sposób do życia, a on poprawi losy biednej swojej rodziny. Czułość ożywi w nim siły, i on ie na uszczęśliwienie tego, co kocha, poświęci. Akt każdy, jest mu nowym źródłem roskoszy. Kawatek chleba, zapracowany w pocie czoła, słodkimi łzami oblewa, udziela go oycu swemu, żonie swojej, swoim dziadkom... Jakże ukontentowanie rozlewa się mu po sercu! iak się cieszy niezmiernie, widząc ich nasyconych i wesółych....! moment jeden wewnętrznej pociechy, nadgradza mu najprzykrzejsze trudy dnia całego. Idzie do spoczynku późnym wieczorem, a nayaniey

porywa się ze snu co żywo, na nowe ukontentowania nieleniwą pracą zarabiać....!

Szczęśliwa familio, pozwol mi na moment ucieszyć się widokiem szczęścia twoiego, pozwol mi wziąć od ciebie nauki mądrości i cnoty! Jak to dobroć serc waszych, umie gładko niedoskonałości zwyczajnej naturze ludzkiej pokrywać! iak łagodność ociera u was łzy, z szczerego żalu wylane! Niewidac między wami, żeby ułomności dzieciinne poruszały zapalczywość rodziców; niewidac, żeby smutek i swary małżeńską iedność mieszały. Zagrzani cnotą i miłością, ubiegacie się, w wzajemnych ku sobie przysługach, walczycie z sobą dowodami miłości, postępek iednych dodaie więcej blasku cnotie drugich.

Uwiedziona płochością córka, rzuca się do nóg matki, oplakując nieprzewidziany upadek.... Coż matka na to? pewnie rozjuszona wściekłością, tratuie dziecię

swoje nogami...? pewnie gromami słów
 zelżywych, bolesnych pocisków obsypaie
 ją gradem...? Spoyrzała z żalem na córkę,
 (weyrzenie matki wskrós przeszło żalem
 serce córk) załamała ręce; „Nieszczę-
 śliwa! rzecze, coś ty najlepszego zrobiła...
 umrę ze smutku. „Więcey iej mówić,
 rzewliwe szłochy nie dały... mdlecie...
 i na łono skażoney córki upada... Tu
 dopiero żal przeniknie serce dziewczyny,
 roni się potok łez z oczu, przytuli do
 serca obumarłą matkę.... „Nie....! nie....
 „kochana matko! (zwoła głosem przery-
 „wanym szlochami....) ia przyczyną twęy
 „śmierci....? Ach! nie....! nie.... nigdy...
 „Ach! przebacz ułomności.... prośtocie...
 „głupstwu.... Zyi matko kochana.... cór-
 „ka winna niech ginie. „Omdlała; i na
 matkę upada. Cóż ma począć biedna mat-
 ka? czyż ma dziecię swoje, wpół umarłe
 dobiiać...? bynajmniey. Powstała; ociera
 łzy pokutne, trzeźwi córkę, puszcza rękę
 swoją wolno, dając wolność córce całować...
 A co? będziesz można pomyśleć, żeby ta

córka dopuściła się więcey czego takiego,
 czymby serce macierzyńskie zraniła?

Teraz, proszę powiedzcie mi czy też
 kiedy w pańskich pałacach, tym podobne
 sceny daia się widzieć? czy między bla-
 chami złota i srebra znać prawdziwe wzra-
 szenia serc czułych....? Otwieraią się po-
 koje; o! iak różny cale widok! Pycha,
 posadzona na łonie pieszczoty, zimną krwią
 rachnie wszystkie swoje nudne uciechy: z
 rana gotuje ofiary, które tysiącom swych
 bałwanów myśli przez dzień oddawać.
 Nigdy to ieszcze nie było, żeby uśmiech
 czułości, miał słodycz swoją do iej serca
 przepuścić.... Niewiasta, zaszczycona imie-
 niem żony i matki, nie zna dotąd powin-
 ności, tych tak chlubnych urzędów, a
 tym mniej ieszcze, ani skosztowała tych ro-
 koszy, iak e one w sobie zawieraią. Wi-
 dzę ia, całą zaprzętnioną wielkim dziełem
 sroioów swoich; niezliczone roie dziewcząt
 i kobiet, gromadzą się do niej, niesąc z so-
 bą kramy modnych towarów, reskładaia

ie w garderobie, iak kupcy na jarmark; obiera z tysiäcznemi grymasami niektóre z pomiędzy nich sama pani; a przystojny młodzik, conaydroższe, na wyniesionej do kilku piätr fryzurze, podrabnię ustawia: kilka godzin mało, na wystawienie tey wspaniałey budowli.... Słychać łoskot; ktoś idzie, zai krzyły się nagłym ogniem oczy pani.... O! żono, żono! a twojeż to małżonek? o! matko, matko! a twojeż to dziecię, przychodzące niewinnemi pieścotami z tobą cackać się....? Nieszety! wszakto jeden z tych, co się bawią zbrodni rzemiosłem, jeden z tych, co uciechy swoje krwią niewinnych ofiar karbują; jeden z tych, co sromotę familii, od iednego domu do drugiego roznoszą....!

A przecie nadchodzą też i dzieci.... — raczono udarować je zimnym weyrzeniem.... słodkie imie matki, wara, dzieci, ani wspomnieć; obcego to ięzyka iest wyraz, którego tu nikt nie rozumie.... Przystępują dzieci ze drzeniem, całują ze czcią rękę

Jeymości (tak kazano nazywać) i wraz pod trzepaczkę służalca, ochrzczonego Guwernera imieniem, nazad odchodzą, przejmować, iezeli nie występkę, to przynajmniej iego dziwaństwa.... Drżey, matko nieszczęsna! ty za ich niecnoty, swego czasu odpowiesz; twoja ku nim oziębłość, wytępią w ich duszy drogie uczucia nasienie, z którego wszystkie cnoty zawiązać się miały. Na łonie to matki kochaney, pierwsze dziecięcia zprawienie do dobrego, odbywać się powinno.

Ale nie zawsze bogactwa, zatwardzają serca ludzkie; w czułych duszach, umieją one, tysiäczne rodzić pociech gatunki. Jeżeli rokosz wewnętrzna cnotliwego bogacza, nie iest tak żywą, iak owego biednego oycę, co kawałkiem chleba w pocie czoła swego zapracowanym, obdziela biedną familią, to przynajmniej rozciąga się daleko, i eo do gatunków iest rozmaitszą.

O! Dorwalu! napatrzyłem się nieraz na ciebie, iakże dziatki twoje do serca oycowskiego przytulał! nasłuchałem się nieraz, iakże im nauki obyczaiow i przykłady cnot z siebie dawał! Widziałem mowię z najczulszym rozrzewnieniem serca mego, iak niewinne dziecińy, obślapiwszy cię do koła, wlepiły w tęcze, oczka swe w ciebie; iak wszystkie słowa twoje chwytały; iakie ci zapytania czyniły; a ty, roniąc łzy i serce nad niemi, czyniłeś ich pytańom zadosyć.... Pamiętam ieszcze i ów dzień (o! nigdy ia go, poki życia, nie zapomnę!) ten dzień, kiedyśmy to chodzili z sobą po polu; kiedyśmy się przypatrywali robotnikom, a kiedyś to kazał im naprawiać drogę, niewygodną do zwożenia snopków z pola. Jak tam wszyscy pracowali z ochotą! Był też między niemi starzec zgrzybiały, co się trząsł cały od słabości: dźwigał on z całej siły motykę, chcąc koniecznie równo z drugimi kopać ziemię; ale nie mógł dać rady, bo mu nazad odpadała waga swoia. Przyśtapiliśmy ku niemu, u-

czyniłeś mu niektóre zapytania. On ci nanie odpowiedział: „Jestem z wioski, zaraz „za tą górą leżącej; mam kilkoro dzieci, „iuz postanowionych, żadne z nich nie- „chciało ogarnąć moiey starości, lokrom „syna najmłodszego. Chociaż on nay- „uboższy jest z nich wszystkich, i lubo sam „z krwawey pracy rąk żyje; przecięż, „iak może, oycy swego opatruie. Wszy- „scy bracia iego, wygnali mnie z domów „swoich, a on jmnie przyjął do swey chat- „ki, i tym kawałkiem chleba, który przez „dzień zarobi, ze mną dzieli się. Od o- „śmiu iuz dni, leży chory na gorączkę, i „zarobic ani na siebie, ani na mnie jnie „może. Doszło nas wczoray, iż ludziom „zostaiącym bez sposobu do życia, nazna- „czas, panie, roboty; owoż dzisiasy z „rana, przyszedłem na robotę z drugiem, „bym chociaż na kawałek chleba zarobił, „dla wymorzonych od kilku dni dzieci „syna mego biednego.... „Tuś się izami obiał, czuły Dorwalu: a nie mogąc przez „długi czas słowa wymowić, nakoniec

rzekleś do starca: „Czci godny oycze! po-
„ rzuć robotę; u mnie znajdziesz wspar-
„ cie dla siebie i cnotliwej twojej fami-
lii.... „

Powrociwszy do domu, opowiedziałeś
rzecz tę dziatkom twoim. Kochane nie-
winniatka, rozrzewniły się nad tak o-
sobliwszą powieścią; potoczyły się im łzy
z oczu, zcierały je rączkami po licach, co
ty widząc, tym więcej jeszcze splakałeś
się.... Ciesz się, Dorwalu! cnota twoja,
niewywieździe się nigdy z ziemi. Dzieci
twoje, będą żywym twoim obrazem....
Nauka cnoty, łatwo z czasem wietrzeje; ale
przykłady, osiadają w pamięci i na sercu
rysują się.

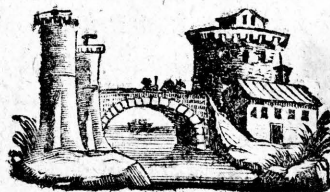
Używajcie. zli ludzie, czczych i fał-
szywych waszych roskoszy; trzymajcie na
proch nogami, co tylko nierządnym chuciom
waszym poważy się stanąć na wstępie;
jawną rozpustą i zgorzeniem, zaprawiajcie
serca dzieci waszych do niecnot; niechaj

chciwość nienasyconą, i samotność niego-
dziwą, fałszywemi swemi wnętrzami, do
zdzierstw, do gwałtów, do tyranii nad ró-
wnemi waszemi was pociąga....! co do
mnie, iedną piosnkę raz wraz śpiewam
sobie: „Szczęśliwy, co opodał od was
„ żyć może: szczęśliwy, co może coś
„ czynić dla was, a od was znanym być
„ nie może. „

Święty gajku, którego cienie dobroczyn-
ne, napełniaią serce moje słodyczą, zastój
mnie od oczu złego człowieka! niechaj
twoje gęste gałązki, ukryją chatkę moję
przed chytrolotnym wzrokiem jego! mogła-
by mu spodobać się; mogłyby mnie naie-
chać, wypędzić, opanować, a może i za-
mordować. Choćby mi też życie darował;
to iskieżby było u człowieka, wyzutego
ze wszystkiego, i ostatniego tułacza....?—
Dochodzić krzywdy, udać się do prawa,
pozwac go do sądu.... — Niemniej to gło-
wy rozum.

Luba pułtynie! tyś mi dała zakosztować słodyczy prawdziwego szczęścia; pod twoim to świętym cieniem, nauczyłem się, zrzucać iarżmo niezliczonych potrzeb, których dotąd byłem niewolnikiem; tutaj to poznałem, że niczym więcej nie jestem, tylko człowiekiem; tak, tak, człowiekiem, to jest: drobnym robaczkiem, którego obwód, najmniejszemu prószkowi równa się; którego siłą, jest słabość; dumą, czczość; życie bieda; wiek, moment; istota, nic, i że cała jego sławy, powagi, rozkoszy i szczęścia zasada, na samych tylko cnotach i chwalebnych dziełach zawisa.... Tu się nauczyłem, że chytróść z szalbierstwem, wszystkich prawie ozionęła umysły, że społeczność ludzka, z samych fałszów i zdrad składa się; że kto niechce być nczestnikiem ich złości, trzeba mu koniecznie odsunąć się iaknysdaley, od ich towarzysstwa; iż niemasz nic dobrego na świecie, tylko miłość, i cnotliwe uczynki; iż żądanie, żeby być kochanym, jest czyliś chimerą, tych, którzy ubiegają się za nią, iż

łaskawość, jest ładu z cnot naypierwszych, a śmierć ze wszystkich dóbr dobrem naywiększym.



DZIESIĄTA NOC.

Ś M I E R Ć.

Nie, nie; już nie będę słuchał więcej
 ich przeczuć trwożliwych, które zda-
 ją się takie niby przepowiadać mi
 szczęście; precz odemnie je odrzucę....
 Słodka nadzieja, zstępnie z niebios wyso-
 kich, przymila się sercu mojemu, i prze-
 dziwną je napawa rozkoszą. Już tedy nie-
 zmrużonym okiem poglądać będę na te nie-
 szczęścia, które na mnie los zawisły wy-
 mierza.... Widzę miejsce ucieczki; to
 miejsce, do którego nie przerzyna się za-
 paleczywość tyranów; o którego podwoje
 roztrąca się nienawiść i pomsta; a zdobycz,
 uporczywie ściganą, sromotnie z rąk wy-
 puszcza.

O! śmierci! wszak ci to jest twoja świą-
 tynia.... Wychodzę ja na widok z lochu
 ciemnego, z którego ludzie zwykli ciebie
 uważać; rozdieram czarną florę, w którą
 dotąd ciebie stroili....; co widzę....? wszak
 to Bóstwo dobrotliwe, wyciąga ręce ku
 ludziom trwożliwym, opieszale przystępu-
 jącym do siebie, chcąc ich mile przywitać,
 i serdecznie uściskać....! Tron wspaniały,
 blask wiecznego światła otacza; a tuż przy
 nim, święta prawda, w nieskażonej swej
 jasności miga.

Co za szaleństwo człowieka, przeista-
 czać znaczne dary nieba...! co za dzika nie-
 wdzięczność, upatrywać i marzyć iakowes
 złe dla siebie, w końcu wszystkiego złego!
 Tak to, tak, nieszczęsna troskliwość, ob-
 rzucił go pętami swoimi, wytepiła w nim
 powaby miłości; tak to, zaprawiła serce
 niewinne, żołąć bojaźni, i pomieszała, we-
 sołość, którą Stwórca dobrotliwy w nim
 na zawsze zasadził. Uroił sobie człowiek
 śmierć, w brzydkiej i straszliwej posta-

wie, marząc, dla tym większego postrachu, że to iestestwo dobrotliwe, wzywać w mściwej ręce miecz krwawy. Nie tu koniec; powłoczy ją florą czarną, daie iey w ręce ostrą kosę; kosa ta, przy bladych lampach i żałobnych, dzikim blaskie migać, okropny oczom widok sprawuje. Naostatek woła: „Oto plugawa, oto straszna, oto chwała śmierci i dzie; oto dybie na ciebie; oto cię za gardło chwyta, oto kosą ścina, „oto iak kwiaty i zioła na łące tak ludzie „od iey kosy trupem padają.... „

Głupcy, głupcy, wszystko to są waznych zchorzałych głów wymysły, śmierć nie ma nic w sobie takiego, co by iakim strachem miało przerażać. Panuie ona z wdzięcznym uśmiechem światu całemu; przychodzi z miną pełną dobroci, i czułości, ku pociesze i otarciu łez cierpiącego biedaka; wyrzywa go z rąk wściekłości, zająłności, okrucieństwa, zemsty; targa iego kajdany, i naturze wraca nazad. Przytomna narodzeniu dziecięcia, nayıpierwsze

kroki iego, kierunie ku mogile; ściele mu do niey drogę iest to miła i gładka posawistość, którą dziecie samo przez się, z łatwy pomyka się nieznacznie, im bliżej zstępnie człowiek ku nizinie grobowca, tym więcej starość uymaie siły organom iego, i gorącość chęci iego ostudza. Roskosz, wypowiada służbę narcowi.... zwolna, usuwa się mu z oczu.... zniknęła.... nie obeszło to nic starego: na nic mu się już nie zda.... Starzec, opadł z sił zupełnie, ból z nienacka wkraśliży mu się do ciała, postępuje sobie w nim samowładnie, i panowanie swoje rozpościera. Wydziera mu się starzec, iak może; grzebie ziemię pod sobą, chcąc się niby ukryć przed nim.... dokazał swego.... jużci bólu nie czuie...; a śmierć, spełniony co do kropli kielich życia, powoli mu z ust skrzepłych wymyka....

Oto mówię: właśnie iak sen czyni ułgę schorzałym, tak śmierć roskoszą poibiedaków. Nie; owszem więcej ieszcze,

niż sen najsłodszy. Pomyślmy sobie: kiedy to sen, opanuje zmysły biedaka iakiego, ięzającego, pod ciężarem kłopotów; iuż organy iego drętwieją; nie znają się na obiektach zewnątrznych; scina oko powieka, nie słyzy ucho, świat iak para z oczu znika; dusza, wyrw wszy się z kajdan organów, pędzi co tę do świątyni spoczynku, i tam osiada sobie mile.... Błogo i na moment mieć ulgę; bo gdy tylko sen zmysły opuszcza, natychmiast wszystko złe, tak iak było przedtym, nazad wraca się.... Nie tak się dzieie u śmierci; nie zna ona odcknienia; kogo raz z biedy wyrwie, iuż tego nigdy więcey nazad nie powroci.

Ból częstokroć naysroźsze schorzałemu zadaie cierpienia; i wprawdzie opłakany byłby stan iego, gdyby tak zawsze na celu ich udręczeń zostawał....! Ale nie, śmierć przybywa mu na ratunek; wydziera go bólem, dzielną swoią prawicą, i od wszelkich pocisków, nie przełamaną tarczą zasłania go. Próżno z wnętrzości ryczącego spi-

zu, wyrывa się całą siłą ołów zajadły; próżno, po powietrzu chytre czyni poszuki; próżno, walecznego wypatrnie z góry żołnierza, z któreyby strony nazyżęczniey do ciała iego wstęp bólów otworzyć.... trafił ołów, podał weyście; upadł żołnierz, ból przyskoczył; aliści wkrótce opuszcza go, i ofiarą śmierci czyni....

Patrzę ia wolnym okiem na mogiłę, w którey wkrótce trupem legnę; przyglądam się spokojnie temu dołowi, gdzie, niebawnie, kupą kości i szczyptą prochu będę.... Na ten widok, złość mi ludzka znika w oczach; tyrania, nic nie straszną wydaie się, gniew się we mnie uśmierza, a zawziętość i zemsta, omiaa mnie zupełnie. Wołam tedy: o! ludzie, ludzie, cóż mi zrobi złość wasza, kiedy sama, iak dym iaki, niewiedzieć gdzie na powietrzu niknie....? I mamże ia upędzać się za wami? mamże was ścigać? mamże za wyrządzone mi psoty, doblić się koniecznie zemsty nad wami....? Wy słabi, ia nie mocny; w samym zama-

chu i poskoku ku sobie, roztrąciłibysmy się jeden o drugiego, i w drobniuchny proszek marniebyśmy rozszypali się....! Kiedy popioły moje, będą martwe w tej mogile spoczywać; a co mi się z tego zawiaże, że za życia, iaką biedę komu wyrządzą....? Kiedy prochy moje zmieszają się z prochami mego przyjaciela; a na cóż żyjąc, mam się z nim gniewać i kłócić....? Śmiechu godny widok, kiedy to dwa stworzenia nawiązują na siebie, iak gdyby mieli na dwójce świat rozwsłić; a byle trąciły się cokolwiek, aliści z nich szczypta pyłku....? albo i to, kiedy dwa malenkie robaczki, szamocą się kilka minut w konwulsjach nienawiści wzajemnych-!

Cóż to to jest ten trup, martwy szczątek bied ego iestestwa? Otaczają go mężczyzny, kobiety, dzieci, i oblewają łzami.... Niebaczni ludzie! kilka minut temu, kiedy wasz oyciec, wasz mąż, wasz przyjaciel cierpiał, nie płakaliście nad nim, a teraz, kiedy przestał cierpieć, kiedy nie nie

czucie, płaczecie....? Ah! porzućcież te płacze; nic mu się złego nie dzieje. Choćby wojna, głód, powietrze, cały jad swój wywarły na ziemię, iuż one nie sięgną go na wieki; choćby wszystkie, ile ich tylko jest, utrapienia i nieszczęścia, hurmem zwały się na ludzi, iuż on ich nie poczuje. Wam bieda dokucza, was dręczą zgryzoły, was na tysiąc sztuk ćwiertnią bóle, zmartwienia, i wszelkiego gatunku dolegliwości, a wy nad nieczułym trupem płaczecie....? Wszak to, nad żywymi, nie nad umarłymi płakać należy!

Cieszcie się, wszakci to ten człowiek zwał się z siebie nader-nudny ciężar życia. Nacoż się przyda nakrywać go czarną powłoką; obstawiać żałobnymi lampami, które bladą poświatą w pośrodek kopciów i ciemności, przerażają strachem oczy i dusze; naco prowadzić go do grobu w smutnej z czarnej flory żałobie, z miną żalowaną, z spuszczonej w ziemię oczami.... Uwiyście mu raczej na głowę wieńce z

kwiatów świeżuchnych, ubierzcie go isiebie wszaty godowe, wstawcie na wóz paradny, wieście z tryumfem do grobu, kłaskając w ręce, skacząc, i piosnkami wesółemi pochwały śmierci wykrzykując.

Cóż ja to mówię? „Śmierć nie jest „straszna....? Człowiek nie powinien iey „się obawać....? ona go uszczęśliwia....? „Nie, nie, iako żywo, straszna jest, i bardzo straszna śmierć, dla złych. Śmierć-ci to, śmierć otwiera w oczach bezbożnego, wrota nie przejrzaney wieczności; sumienie, miesza go i niewymownym strachem przeraża, wystawiając mu długi szereg zbrodni iego i niecnot.... Zstępnie zedrzeniem nieszczęsny, w tę to przepaść niezmierną.... rzuca tu i owdzie oczami po bezdennych ciemnościach....; wrzask i jęki żałosne, dolatują mu do uszu; są to odgłosy stworzeń niewinnych, które okropną wynudzanych namiętności iego legły ofiarą.... z głębokości otchłani wzywają go do siebie, i pomsty nań wołają....

O! wy, co to człeka, poddanego losom panowaniu waszemu, za nic sobie nie macie; wy, co z wyższego rodu swego, tyrańskie prawo uciemnienia bliźnich waszych sobie rozciecie; wy, co życie ludzkie, co majątek, co szczęście, na igrzysko i rozrywkę swoją puszczaście... drżycie...! pomsta! pomsta nieomylna was czeka...! A, widzicież, iak to straszna śmierć nadchodzi? bez wątpienia straszną ona jest dla was. Idzie, i ogromnym okiem coraz nawas pogląda.... Prawda, ta to sama niegdyś cicha, skromna, i cierpliwa, teraz pełna pomsty i gniewu, wielkim pędem leci przed nią; w iedney ręce pęk węzów jadowitych drażni, w drugiej żałobną z pod brudnego kopciuch pochodnię roznieca.... Jużci przeraźliwym płomieniem błysnęła wam koło okien, i strachem napęła wszystkie pokoje.... jużci kołata do bramy.... już żelazne zapory, mocą wysadza.... Falsz, na łoskot nieprzyjaciółki swojej, przestraszony zmyka co tchu, i wolne za sobą weyście prawdzie zostawia.... Wcho-

dzi prawda, zanią śmierć.... Chwyta prawda za garło, a śmierć óbosiecznego miecza z pochew dobywa.... Cóż to? drzycie widzę? wy niezwałczeni Bochatyrowie? wy mocarze świata całego? wy Bogowie....? wy to drzycie, na skinienie których, ziemia trzęsła się....? wy to drzycie, których całym prawidłem była dumna i lubość.... Gdzież się podziela owa okazałość i Majestat? Gdzie potęga owa i Wielm żność....? podobno to wszystko snem było i marą.... ale ach! iak straszliwe jest teraz ocknienie się ze snu tego....! Cożście przynajmniej na tym wskorali, żeście złemi byli....?

Wieczność! co za słowo straszliwe....! O! Śmierci! i gdzież ty mnie zaprowadzisz....? wyrywasz mnie z mąk okrutnych, czy tylko nie dla tego, żebyś w daleko okrutniejsze wprawiła? Jakże? i będęż ja żył jeszcze, kiedy z zbolatego ciała, duch wynidzie? i iakiż to świat nowy, duszy mojej ukaże się....? O! Boże! o!

natury! żyłem podług świętych praw waszych, skłaniam chętnie głowę moję pod wasze wyroki, w mocnym zaufaniu, iż nie zechcecie mego nieszczęścia.

Nie, nie, niemoże to być nigdy, żeby ta dusza, w której całą moję nadzieję przeciw pociskom niesprawiedliwości i tyranii pokładałem, miała kiedy być obroconą w niwecz....! O! z iaką to słodyczą mi przychodzi, wspomnieć sobie że jestem....! to słowo: *ja*, jest to dar wielki natury, jest to więcej niż proste iestestwo.... Nie, nie, śmiało mówię jeszcze raz, nigdy to być nie może, żeby Tworca natury, miał dopuścić duszy mojej rozsypać się w niwecz. Więcej [ona musi ważyć u niego, niż ziarko piasku, któremu on przecież zginąć nie dać. A gdy najdrobniejszego proszku, którym tu i owdzie rzuca powietrze, nie potrafią wszyscy ludzie, wszystkiemi swemi w iedno-złączonemi siłami, zniszczyć, iak-żeby to być mogło, żeby kaprys iednego człowieka, duszę ludzką, ten prawdziwie

Boski utwor, iedyny zaszczyt i pociechę
czulego stworzenia, mógł zgubić, i w prze-
paści nicestwa pograćzyc....?

Dzicy i okrutni ludzie! te myśli, te na-
dzieje, zasilią duszę moją przeciw wszel-
kim tyrantii waszey pociskom. Upoiony
ich słodyczą, nie czuję tych kaydan,
które miś e mnie okuli. Zwalcie na głowę
moją wszystkie biedy i nieszczęścia, to prze-
cie przybliżycie ich koniec, przysuniecie do
mnie ów moment szczęśliwy, w którym
wyrwawszy się z rąk okrutnych, polecę
do tych krain przedziwnych, gdzie serca
prawie zażywaią szczęścia bez końca....

K O N I E C.



<i>Pierwsza Noc. Wieś.</i>	— — karta.	1.
<i>Druga — — Bóg.</i>	— — —	28.
<i>Trzecia — — Człowiek.</i>	— — —	46.
<i>Czwarta — — Nauka.</i>	— — —	75.
<i>Piąta — — Społeczność.</i>	— — —	96.
<i>Szosta — — Dobroczynność.</i>	— — —	109.
<i>Siodma — — Przyjaźń.</i>	— — —	125.
<i>Osmia — — Miłość.</i>	— — —	140.
<i>Dziewiąta — — Szczęście.</i>	— — —	148.
<i>Dziesiąta — — Śmierć.</i>	— — —	168.

821
Laveaux
Noay

32783